



Fot. M. KOPEC

# WIDNOKRAĆ

UKAZUJE SIĘ  
Z „NOWINAMI  
RZESZOWSKIMI”  
Nr 29 (497)  
19 lipca 1969 r.

TYGODNIK SPOLECZNO-KULTURALNY

Jan Grygiel

Śladami dawnych reportaży (V)

## DIALOGI Z PRZESZŁOŚCIĄ

A JEDNAK SZKLANE DOMY

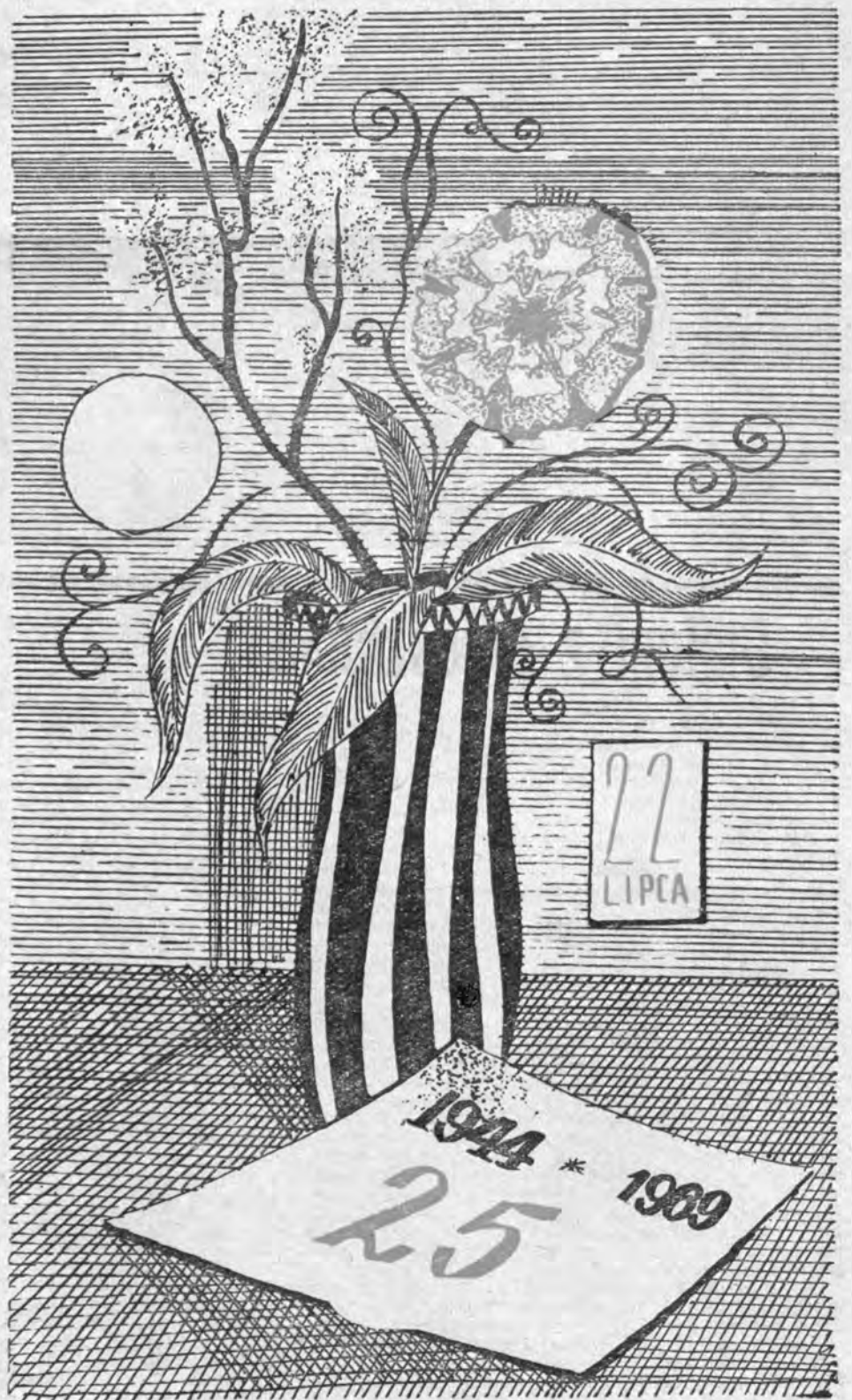
Przy porządkowaniu resowianów na mojej półce bibliotecznej wpadł mi w ręce skromny album pod długim i dość urzędowym tytułem: „Szkoły pomniki Tysiąclecia Państwa Polskiego na ziemi rzeszowskiej”. Przypomniałem sobie, że miałem kiedyś album ten recenzować, ale zabrakło mi odwagi. Jakże tu recenzować pracę całego społeczeństwa Rzeszowszczyzny — jego ogromny trud i wspaniałe osiągnięcie — największy pomnik wzniesiony w okresie 25-lecia Polski Ludowej. Książka ukazała się w roku 1966 i stanowiła podsumowanie na terenie naszego regionu realizacji wielkiego czynu narodowego podjętego dla uczczenia tysiąclecia historii naszego państwa — zbudowania 1000 szkół na Tysiąclecie. Wертuję karty albumiku, czytam: „Ze składek na Społeczny Fundusz Budowy Szkół w ramach czynów społecznych wykonanych przez mieszkańców województwa rzeszowskiego wybudowano i oddano dzieciom i młodzieży 101 szkół pomników”. Okazuje się, że w tym samym czasie (w latach 1961—1965) z funduszy państwowych powstało także ponad 100 obiektów szkolnych. A więc kilka tysięcy nowych, jasnych izb lekcyjnych przybyło naszym dzieciom.

Jakże cieszyłby się z tego, gdyby dożył naszych czasów zasłużony pedagog, pisarz i publicysta Jerzy Ostrowski, którego śladami reporterskimi kilkakrotnie w tym cyklu artykułów chodziłem. W swojej książce „Widły Wisły i Sanu” jeden z reportaży poświęcił sprawom oświaty na wsi u schyłku dwudziestolecia międzywojennego. Z wielką tros-

ką, gorczą i współczuciem przedstawia katastrofalny stan szkolnictwa w okolicach Rzeszowa. W czasie wizyty w jednej ze szkół spotyka nauczyciela, który własnymi rękami, przy pomocy uczniów remontuje „budynek” szkoły.

„Szkola jest właściwie mało warta” — tłumaczy reporterowi. — „Budynek stary, od 25 lat nie remontowany, nic więc dziwnego, że nikt nie chce w nim topić pieniędzy. No, a znowu my tutaj — to znaczy ja i dzieci — wiemy, że musimy wytrzymać w niej przez zimę, więc się trochę zabezpieczamy. — Rozglądam się po klasie” — pisze Ostrowski. — „Jest to mała izdebka wiejska o wymiarach podłogi 4 na 5 metrów najwyżej. Sufit niski, okienka małe, podłoga krzywa, na ścianach i suficie plamy od zacieków. Mimo otwartych okien czuć zaduch mokrego drzewa i bodaj czy nie grzyba. — Ile ma pan takich klas? — pytam naiwnie. — Ile? — powtarza ze zdziwieniem nauczyciel. — Tę jedną tylko. Jest to przecież jedno-klasówka, szkoła tzw. I stopnia organizacyjnego. Jestem tu jednocześnie kierownikiem, nauczycielem a jak trzeba to i woźnym”.

Czyżby Ostrowski przypadkowo trafił do jakiejś wyjątkowej szkoły? Reliktu oświaty galicyjskiej, nietypowego dla szkolnictwa lat trzydziestych? Z dalszej rozmowy okazuje się, że nie, że takich szkół jest bardzo wiele. Nauczyciel wyjaśnia mu, co znaczy w praktyce podział na stopnie organizacyjne. Oznacza



CIĄG DALSZY NA STR.

2



### 1. DZIADOWIE W SUKMANACH

Nie wiadomo dokładnie, kiedy zrobiono to, piękne, duże zdjęcie rodzinne. Było to w każdym razie przed pierwszą wojną światową. Nie przelewało się w domu Chmielińskich w podrzeszowskim Chmielniku, nie w głowie było rodzicom, trapiącym się jak tu utrzymać ośmioro dzieci, jakieś zdjęcia, czy inne fanaberie. Ale jeden z synów, utarty podówczas w Galicji zwyciężając, pojechał za chlebem aż za Ocean i stamtąd nadesłał po latach 20 dolarów. Pan Walenty, który na zdjęciu jest podrastającym młodzieńcem, dziś mężczyzna 67-letni, drobny, pamięta, że przysyłając owe dolary, brat prosił o zdjęcie rodzinne, o podobiznę najbliższych, za którymi tęsknił okrutnie w dalekim, zamorskim kraju. Pojechali więc do Rzeszowa. W okolicznościach dosyć niezwykłych zrobiona została ta fotografia rodzinna, przechowywana po dziś dzień w albumie. Dla rodziny Chmielińskich, jest to pamiętka o niewymiernej cenie, przekaz z życia ich przodków, przekaz tym ciekawszy, że ukazujący w całej okazałości piękno starego stroju chłopów wsi rzeszowskiej, dostojnej sukmany ojca rodziny, oryginalnej chusty, marszczącej długiej spódnicy matki. Młodzi Chmielińscy przyglądają się temu zdjęciu z niejakim niedowierzaniem, tak wydaje się odległa tamta epoka, nawiązująca do czasów, z którymi nie łączy ich już nic, oprócz opowiadań rodziców. Ale chociaż brak tu jakichkolwiek własnych doświadczeń u pokolenia wyrosłego po drugiej wojnie światowej, słuchają przecież tych opowieści z ogromnym zainteresowaniem. Nie wiem czy przymierzają je do własnych doświadczeń, własnego życia, jakże odmiennego od tamtych zdarzeń, faktów. Mnie przecież takie właśnie przymiarki nasu-

wają się mimo woli, same przez się.

— Było nas w domu ośmioro — opowiada pan Walenty, mężczyzna drobny, niepozorny. Siedzimy we czwórce, jest jeszcze zootechnik z GRN w Słocinie, który mnie tutaj podwiózł na motocyklu, jest Chmieliński junior — 27-letni Stanisław, który ma po ojcu przejąć gospodarke.

### 2. DWÓJKA BRATA JÓZEFA

— Ziemi było u rodziców niewiele, niecałe 6 morgów — mówi pan Walenty — a rodzina duża. Siostry chodziły na zarobek do dworu, ja sam przez trzy lata służyłem na plebanii. Ojciec, choć sam analfabeta, chciał jednak wykształcić przynajmniej jednego z synów. Wybór padł na Józefa. Choć z Chmielnika do Rzeszowa niedaleko, nie łatwo było wtedy chłopskiemu dziecku dostać się do średniej szkoły. Czesne i inne opłaty kładły się ciężkim brzemieniem na głowach rodziców. To nie były czasy, kiedy chłopskie dzieci mogły się uczyć...

### 3. INNE CZASY

Tak — to były inne czasy. Jak dalece zmieniła się sytuacja, mogłem przekonać się, poznając losy dzieci pana Walentego.

A jest to powiedzmy z naciskiem, doprawdy imponująca rodzina. Państwo Chmielińscy wychowali dziewięcioro dzieci. Rzadki to już dzisiaj, nawet na wsi wypadek, taka dorodna, staropolska rodzina. Powiedzmy tu od razu, wychowali i wychowują na dzielnych, rozumnych ludzi. Podobnie jak rodzice pracowitych, rozsądnych, ambitnych. Ale trzeba jeszcze opowiedzieć, jak to Chmielińscy przemieśli się do sąsiadującej z Chmielnikiem Słociny, nad nieduży strumyk w przysiółku Działy. W roku 1936 pan Walenty kupił kawałek ziemi w Słocinie, z parcelacji majątku hrabiny Chłapowskiej. W tym przedsięwzięciu dopomógł mu wydatnie posag żony. Sprzedawszy kawałek ziemi w rodzinnym Chmielniku przemieśli się wraz ze starszą, drewnianą chałupą i zabudowaniami gospodarskimi na nową ziemię. Niedługo nadeszła wojna, przekreślając wszelkie plany, zamierzenia. Pan Walenty zdążył również wziąć w niej udział.

W okresie okupacji Chmielińscy wrośli w społeczeństwo słocińskie, poznali się z bliższymi i dalszymi sąsiadami (raczej dalszymi, gdyż dom ich stał z dala od zwartej zabudowy, niemal samotnie w polu). W każdym razie w tym czasie rozpoczął się proces ich adaptacji środowiskowej. Bo społeczność wiejska, zwłaszcza dawniejsza, tradycyjna, z nieufnością, a nawet niechęcią odnosiła się „do nowych ludzi”. Dzisiaj, w wyniku powojennych procesów migracyjnych, stosunki te uległy daleko idącym zmianom, ale wtedy... Chociaż i dziś jeszcze pamiętają niektórzy, że Chmieliński, chociaż wzorowy gospodarz, nie jest słocińskiem z dziada pradziada...

### 4. ŚLAD WSPÓŁCZESNOŚCI...

Niepodobna zaprzeczyć, że fotografia to znacznie mniej efektowna. Zapomniano już na wsi o malowniczych, tradycyjnych strojach (pan Walenty

mówił mi, że w Słocinie jest jeszcze 4 starodawne sukmany) a i sztuka fotograficzna, mimo ogromnego rozwoju techniki, jest jak gdyby mniej dbała. Zdjęcie jest małe, układ postaci, kompozycja całości znacznie odbiegająca od dobrych tradycji. A może po prostu wtedy, przed rokiem 1914 fotografowało się tylko od wielkiego święta, zdjęcie całej rodziny było nie lada zdarzeniem, przygotowywano się do niego, celebrowano go nie było jak! A dziś, w dobie podboju kosmosu, w dobie gwałtownego upowszechnienia tanich aparatów fotograficznych, zdjęcie rodzinne sporządza się byle jak, szybko, na marginesie tysiąca innych obowiązków, zajęć?...

Nie dajmy się jednak sprowadzić na manowce zewnętrznym pozorom. Spróbujmy przyrzeć się bliżej postaciom, które przedstawia owa fotka rodzinna, spróbujmy zobaczyć na ich przykładzie, 25-letni dorobek rodziny Chmielińskich. Nie traktujmy zresztą tej rodziny, jako wyjątkowej, może wyjątkowej jedynie jeżeli chodzi o liczebność dzieci. Ale poza tym możemy ją uznać za jedną z tysięcy, przeciętnej rodziny chłopskiej. Jak odcisnęła się na jej losach współczesność? Co przyniosły jej powojenne lata? Z jakim dorobkiem wchodzi w nowe, drugie ćwierćwiecze Polski Ludowej?

### 5. ....TO WSZYSTKO — TO NASZ POWOJENNY DOROBEK

Kiedy dotarliśmy boczną, nieco po deszczu rozmiękłą drogą do obejścia Chmielińskich, oczom moim ukazał się murywany, starannie utrzymany dom, także stodoła i obora. Na pastwisku, odgradzonym drutami, pasły się trzy dorodne krowy rasy holenderskiej. Po drugiej stronie kwatery wypasowej, spore poletko rabarbarowe, tuż przy domu w osiatkowanym ogrodzie maliny, rzodkiewki, o-

górki. Wszędzie ład i porządek, podwórce starannie uprzątnięte, z nakrytym spiczastym dachem silosem na skraju.

Nie jestem specjalistą, nie znam się na arkanach gospodarki rolnej, trudno mi więc wyrokować, w jakiej mierze można uznać gospodarstwo Chmielińskich za wzorowe. Być może, można w pobliskich wsiach spotkać gospodarstwa lepiej zorganizowane i prowadzone, w każdym razie jak wynikało z przeprowadzonych później rozmów w gromadzkiej radzie, w warunkach podmiejskiej wsi, gdzie rolników, utrzymujących się tylko z gospodarki jest niewiele — gospodarstwo Chmielińskich zaliczane jest do najlepszych!

Próbując prześledzić etapy tej drogi pana Walentego, która doprowadziła go do statusu jednego z produjących rolników w Słocinie. Gospodarz tłumaczy mi, że była to droga niezbyt efektywna, znaczną rolę odegrał trudem, ogromną, nieustanną pracą długich lat...

— Dziś wstałam o wpół do trzeciej — włącza się do rozmowy gospodyni, pani Chmielińska, kobieta niewysoka, o pogodnej, młodej twarzy i siwych włosach. Trzeba było naladować rabarbaru na furmankę, syn pojedzie do miasta po zakupy — to zawiezie przy okazji.

Jej synowie, dwaj bliźniacy, jeden uczeń Technikum Elektrycznego - Mechanicznego, drugi Zasadniczej Szkoły Zawodowej WSK, oraz najmłodszy Janek, teraz w okresie wakacji, dzielnie pomagają rodzicom. Uczą się nieźle, a wychowani, podobnie jak ich starsze rodzeństwo, w surowej szkole życia, zaprawieni nie do lekkiej pracy przy gospodarstwie, doskonale radzą sobie przy tokarce czy innej maszynie.

— Bardzo z nich w fabryce zadowoleni — z radością wyznaje matka...

### 6. „SPOKOJNY CZAS”

— To wszystko co mamy, zawdzięczamy naszej pracy — powie pan Walenty, ale zastanawia się, namyśla, jak gdyby chciał jeszcze uzupełnić swą wypowiedź — no, nie tylko — zawdzięczamy to również temu, że czas był spokojny! Tak to skromnie gospodarz słociński sformułował myśl, która wydaje mi się zasadniczą. Dzięki temu, że nowa Polska zapewniła spokojny czas, że w burzliwych powojennych latach dała poczucie bezpieczeństwa — mogła się dźwignąć wieś polska, mogliśmy zbudować przemysł i miasta! A budował pan Walenty wszystko



## Dialogi z przeszłością

(Ciąg dalszy ze str. 1)

to — powiada — że większość szkół wiejskich została zatrzymana ustawowo na niższym szczeblu rozwoju i dzieci z większości wsi polskich nie mają — w ogóle szans dalszego kształcenia się”.

Tylko ze szkół siedmioklasowych III stopnia istniała w tym czasie bezpośrednia droga do szkół zawodowych, i średnich. Nie miały do nich dostępu dzieci ze szkół I i II stopnia (jedno i dwuklasówki o tzw. zajęciach łączonych polegających na tym, że nauczyciel w tej samej klasie prowadzi głośno lekcję z jednym rocznikiem, a jednocześnie drugi rocznik uczy po cichu czegoś innego). Na 197 szkół powszechnych w 2 powiatach podrzeszowskich, jak podaje pisarz, było 107 szkół I stopnia, 50 II stopnia, a tylko 40 normalnych 7-klasowych, w których każda klasa uczyła się osobno, z czego na wsi — 20. Takich „gmachów” szkolnych jak ten reperowany przez nauczyciela było wtedy we wspomnianych 2 powiatach 60, trochę lepszych z 80, a takich jakie powinny być aż 4.

Trudno się dziwić trochę i zgryzocie Jerzego Ostrowskiego i wiejskiego nauczyciela. Przerazające to cyfry, a skutki tego

stanu rzeczy wiadome — powrotny analfabetyzm ogarniający coraz szerzej wieś. Taki sam ponury obraz wylania się z książki „Wieś nie ma pracy” Jerzego Michałowskiego analizującej, stosunki społeczne w powiecie rzeszowskim. Z danych, które autor przytacza wynika, że naukę szkolną pobiera tylko 72 proc. dzieci podlegających obowiązkowi nauczania, a 49 proc. szkół w powiecie to jednoklasówki i dwuklasówki. Szkół 7-klasowych jest 14 i wszystkie w mieście.

„Oczy w łachmanach” — tak zatytułował swój reportaż Jerzy Ostrowski przerażony nędzą i warunkami nauki dzieci wiejskich. Nie ma już łachmanów na dzieciach z Dylągówki, Jawornika, Lubeni i Chmielnika. Nie ma już ruder udających szkoły.

Wertuję karty albumu i przypominam sobie raz jeszcze dobrze mi znane, pełne światła i przestrzeni sale szkolne w różnych miejscowościach województwa. Tak często w nich bywałem na spotkaniach, z odczytami, na różnych imprezach w Nowej Wsi, Babicy, Straszylu, Skolyźnie, Sieniawie, Błżnemu, Gwoźnicy — w wielu innych wzniesionych często we wsiach odległych od szlaków komunika-

cyjnych, w których płonęły jasne żarówki, grały kaloryfery lub szumił w palnikach płomień gazu. Powstało przecież przeszło 800 tych nowych, prawie szklanych domów w naszym województwie od 1945 roku. W roku bieżącym, roku jubileuszu Polskiej Ludowej budujemy jeszcze 46 gmachów szkolnych. Jest się czym pochwalić i jest czego zazdrościć naszym dzieciom. Z jasnych okien tych szkół otwiera się szeroki, piękny widok na następne nasze ćwierćwiecze.

W 27 numerze „Polityki” z 5 lipca br. w rubryce „Coś z życia” znajdujemy taką notatkę: „Kreśląc się z poważaniem, pan Tadeusz Kordyś z Kupna (pow. Kolbuszowa) zapytał redakcję „Gromady” czemu we wnętrzu autobusów PKS kursujących po powiecie kolbuszowskim pod napisem „wyjście bezpieczeństwa” znajduje się instrukcja pouczająca, że w razie niebezpieczeństwa należy pociągnąć za kółko, otworzyć nim drzwi i wyjść, ale samo kółko znajduje się na zewnątrz autobusu. „Gromada — Rolnik Polski” poradziła, żeby Pan Kordyś zażył walerianę. Jest to odpowiedź wymijająca. My chcemy powiedzieć wyraźnie, że za sanacji chodziło się po Kolbuszowszczyźnie pieszo i boso”. Jest to ironiczny komentarz kwitujący zjadliwie bezsensowną odpowiedź Gromady na słuszną reakcję korespondenta z Kupna protestującego przeciw bezmyśl-

ności brakorobów z wytwórni autobusów. Potwierdza on z dawną ugruntowaną, potwierdzoną w wielu przekazach opinię o stanie dróg i komunikacji przed wojną w tym rejonie Rzeszowszczyzny. O tym bowiem, że za sanacji chodziło się w powiecie kolbuszowskim pieszo i boso pamiętają doskonale starsi mieszkańcy tamtych stron i mówią dane statystyczne z tamtych lat.

Wiadomo, że większość starych lasowiackich osad na terenie dawnej Puszczy Sandomierskiej była jeszcze w okresie międzywojennym odsunięta daleko od szlaków komunikacyjnych i skazana na samowystarczalność, na zaopatrzenie się w niezbędne towary u miejscowych rzemieślników — chałupników. Dlatego kształtowały się tam duże ośrodki chłopskiej rękodziela — tkactwa, kolodziejstwa i garniarstwa. Piaszczyste, kręte wyboiste drożki przeciskające się przez lasy nie miały zresztą gdzie prowadzić Lasowiaków. Obszar Płaskowyżu Kolbuszowskiego i Kotliny Sandomierskiej był pozbawiony jakichkolwiek ośrodków przemysłowych, większych miast i centrów kulturalnych. Małe miasteczka, Sokołów, Raniżów, Kolbuszowa, Nisko, Rozwadów niewiele różniły się od wiosek.

Sięgam znów do reportażu Ostrowskiego — najobiektywniejszego obrazu Rzeszowszczyzny

przedwojennej. „Mapa Autobusbilklubu — powiada w szkicu „Nerwy i tętnice” — optymistycznie dzieli drogi na dobre, średnie i złe. W praktyce okazała się wszystkie złe, lub co najmniej jak dawny tytoń rosyjski „niższe, średnie”. Gorzej jest z trasą. Kto chce zbadać całą rozpiętość blagi i frazesu w Polsce, niech porówna publiczne deklaracje z siecią dróg. Tu się nie da nic zagadać, ani upiększyć. Mapa naszych dróg wygląda jak ślady nóg pijanego chrabąszcza. Czerwone i czarne linie rozlażą się bezmyślnie, lub zblizają do siebie na parę kilometrów, aby nagle uciec w popłochu i wyciąć niezrozumiałego zakręta...”

A później te miasteczka puszczańskie stanowiące żywy symbol świata zabitego deskami — „Wpada się do nich z pióropuszem kurzu nad głową, wjeżdża na krzywy rynek i zatrzymuje bezradnie: nie widać stąd drogi wyjścia. Domy dookoła rynku przykucały i podały sobie płoty, żeby zagrozić drogę, a podłoga rynku przybita jest mocno do ziemi łbami kamiennych gwoździ. Nawet wiatry, które wypadkiem wpadną na rynek, kręcą się bezmyślnie w kółko, opadają na kupkę śmieci i zostają na zawsze!...”

Wiele razy przemierzyłem redakcyjnym wozem dzisiejsze kolbuszowskie drogi. Wiodą dziś we

od nowa. Był co prawda w szczęśliwszym położeniu aniżeli tysiące chłopów, którym wojna, czy reakcyjne bandy zniszczyły domy, zabudowania gospodarce. Tego wszystkiego udało się w położonej tuż pod Rzeszowem Słocinie szczęśliwie uniknąć. Ale budował wszystko na miarę nowych czasów, budował, aby dać świadectwo prawdzie, że jego pokoleniu stworzono warunki lepszego życia.

W roku 1948 wzniesli Chmielińscy dom mieszkalny. Dom murowany, zwyczajny, tyle, że z przybudówką na stryżku. Pożyczyli trochę od państwa, trochę od rodziny, dość, że dom stanął. Wtedy wydawał się obszerny, wielki, dzieci były jeszcze małe, a dziś jest jak w sam raz. Gdy zjadą się na świę-

pana Walentego nie umiał pisać, w czasach młodości nie było w Chmielniku szkoły. Walenty Chmieliński — podobnie jak większość jego rodzeństwa — zakończył edukację na szkole podstawowej. A dzieci pana Walentego? Zaczniemy od córek. Najstarsza Izabela, skończyła krakowską ASP. Nie dostała się na studia bezpośrednio po maturze, ale nie zrezygnowała. Mają widocznie niektóre dzieci tej rodziny uzdolnienia plastyczne, bo również druga z córek, Maria, dostała się na tę samą uczelnię. Studiuję architekturę wewnątrz. Teresa skończyła trzyletnią szkołę ogrodniczą w Ropczycach, pracuje w Oddziale JUNG-u w Rzeszowie oraz, aby tradycji rodzinnej stało się zadość, studiuje zaocznie w Wyż-

miarę swoich sił i możliwości popierać sprawę owego lipca. Przecież nie było w Słocinie żadnej poważniejszej inicjatywy społecznej, czy to budowy dróg, czy szkoły, żeby jego, członka miejscowego koła ZSL, tam brakło. Już trzecią kadencję z rzędu sprawuje mandat radnego w gromadzkiej radzie i nie jest jedynie radnym z nazwy. Bierze czynny udział w sesjach rady, zabiera głos, wypowiada swoje zdanie w żywotnych dla środowiska sprawach. Postępuje jak przystało na światłego rolnika, obywatela Polski Ludowej...

**8. ROSNĄ NASTĘPCY...**

Pomyślano w rodzinie Chmielińskich o następcy, który po-



Dwadzieścia pięć lat, to w historii języka okres bardzo krótki, a wiadomo, że dopiero perspektywa historyczna pozwala ujmować wydarzenia we właściwych pod względem ich ważności proporcjach i formułować trafne ich oceny. Historia języka polskiego to historia tego jak mówili dawniej i jak mówią dziś Polacy, czyli historia pewnych form zachowania się i działania ludzi żyjących dziś i ludzi, którzy żyli kiedyś. Kogo interesuje język, tego interesują ludzie mówiący tym językiem, dobrze zaś jest, jeżeli zainteresowani ludźmi towarzyszy życzliwość dla nich — powiedział znakomity polski językoznawca prof. dr Witold Doroszewski w rozmowie z przedstawicielem PAP, red. Romualdem Żaluską. Tematem rozmowy były zmiany, jakie zaszły w naszym języku w ostatnim ćwierćwieczu.

Język, jak się to często mówi, jest wyrazem świadomości narodu, ta zaś świadomość jest wytworem wielu złożonych czynników społecznych. Dwadzieścia pięć minionych lat istnienia naszego państwa to okres historyczny Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, okres przeobrażeń struktury klasowej narodu, dzięki którym otworzyły się możliwości udziału w życiu kulturalnym mas, dotychczas tych możliwości pozbawionych. Wzmogły się bardzo silnie procesy integracji, czyli scalania się środowisk, czego najwidoczniejszym objawem jest coraz szybsze zanikanie gwar. Coraz większy odsetek ludności Polski stanowi ludność miast. Coraz częściej chłop, nawet nie rozstając się jeszcze ze wsią, dojeżdża do miasta i tam pracuje jako robotnik, stając się według określenia — szczęśliwie już poniechanego — „chłopo-robotnikiem”.

Zanikanie gwar wiejskich jest procesem nieodwracalnym, którego istota polega na zacieraniu się lokalnych partykularizmów. Wodę czerpaną wiadrami ze studni nosi się na wsi za pomocą drewnianych nosideł wkła-

danych na ramiona; na obszarze Polski te nosidła mają kilkanaście różnych nazw, takich jak jarzemka, pedy, kluki, sądy, nosze, nosilki, kromysła i in. Wszystkie te nazwy skazane są na zapomnienie z tego prostego powodu, że sam przedmiot, w miarę postępów techniki, będzie wychodził z użycia.

Zróżnicowanie gwarowe — nie tylko w Polsce — będzie stopniowo słabnąc, ustępując miejsca nowej syntezie językowej. W szczególności ciekawy sposób przebiegają te procesy na naszych Ziemiach Zachodnich, gdzie się znalazły często w tych samych wsiach grupy ludności pochodzące z odległych od siebie okolic. Badania tych procesów, których wynikiem może być nowa swoista symbioza językowa jako wytwór nowej powojennej epoki, są prowadzone przez Zakład Językoznawstwa PAN w Warszawie, ale o końcowych wnioskach nie można jeszcze mówić.

Ktokolwiek miał sposobność obcowania z gwarami, z żywą mową ludową, czy to w przygodnych rozmowach, czy w badaniach, gdy tej mowy słuchał i zapisywał ją lub utrwał na taśmie magnetofonu, ten z pewnością pamięta, ile ciekawych i przyjemnych wrażeń i doświadczeń temu obserwowaniu zawdzięczał. Nie chodzi tu o sielską scenografię tych rozmów, ale o urok spontaniczności, trafności, konkretności wypowiedzenia ludzi prostych, mówiących po to, żeby coś określonego powiedzieć, ludzi nie zawsze będących w zgodzie z ogólnymi normami gramatyki, ale mimo to nie rażących swoim wypowiedzeniem naszego poczucia językowego. Chłop nie zna wielu wyrazów cudzoziemskich, ale lepiej ich nie znać niż robić z nich bezsensowny użytek czego przykładem może być umieszczenie angielskiego wyrazu show, znaczącego „pokaz, widowisko” w nagłówku plakatu reklamowego jakiegoś zespołu artystycznego w Warszawie (może zresztą była w tym ironia).

Do zwykłego zdrowego rozsądku należy się odwoływać, gdy się widzi objawy różnych form kompleksów niższości, a obok tego poży pretensjonalności i zmanierowania w postępowaniu się językiem w jakiegokolwiek — potocznej, artystycznej czy naukowej jego odmianie.

Trzeba troszczyć się o to, aby język urzędowy nie odznaczał się niepotrzebną celebrycją i zmanierowaniem, ale aby był jak najprostszy i jak najbardziej „ludzki”. Złe jest jeżeli język urzędowy zaczyna uchodzić za wzór literacki.

Masowości awansu społecznego powinna towarzyszyć masowa organizacja pracy nad językiem. Byłoby rzeczą naturalną, gdyby w państwie, które tylu ludziom ten awans umożliwiło, troska o język przybierała formy masowe i znajdowała wyraz między innymi w dbałości o język środków masowego przekazu, a więc prasy, radia i telewizji.

W związku z działalnością Towarzystwa Kultury Języka mam kontakty z ośrodkami tzw. Polskiego powiatowego, a dzięki tym kontaktom możliwość stwierdzenia, ile jest w Polsce wśród skromnych, cichych ludzi żywych zainteresowań zagadnieniami języka i kultury. Polityka kulturalna powinna te zainteresowania ogniskować i syntetyzować, tak jak język ogólnopolski wchłania w siebie i syntetyzuje pierwiastki rozmaitych regionów.

W mojej fragmentarycznej (Ciąga dalszy na str. 4)



ta, wakacje, pełny jest cały dom.

— I wtedy, gdy przyjadą wszyscy, jest w domu najprzyjemniej — mówi gospodyni. Wtedy, gdy zbierze się cała dziewięćosobowa gromadka.

Chętnie mówi się tu o kolejnych etapach unowocześniania, wprowadzania coraz to nowych udogodnień, w 59 założyli światło elektryczne, późno, bo daleko do linii, jeszcze wcześniej zbudowali obórę, stodołę, przed paru laty zainstalowali centralne ogrzewanie, doprowadzili wodę do domu i obory. A przecież w tych latach urodzili się jeszcze bliźniacy i 8-klasista Janek, w tych latach gospodarowali na tym samym przeczku, sporym gospodarstwie, i wzorowo, jak zawsze, wywiązywali się z obowiązkowych dostaw, a ojciec udzielał się w pracy społecznej we wsi.

**7. W NOWYCH WARUNKACH...**

Znany nam ze zdjęcia wąsaty Sarmata w sukmanie — ojciec

szej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego.

Najmłodszy, jak już wiemy, uczą się, jeden ze starszych braci, Antoni nie ukończył studiów z powodu choroby, Staszek, którego poznałem ukończył Technikum Rolnicze.

Żadne więc z dzieci Chmielińskich nie poprzestało na wykształceniu podstawowym, którym zadowolić się musieli ich rodzice.

Pan Walenty jest czytany i światłym człowiekiem, dobrze zdaje sobie sprawę z faktu, jak wielkim dobrodziejstwem dla jego najbliższej rodziny i tysięcy chłopskich dzieci było otwarcie dróg do szkół wszelkich stopni i typów. Walenty Chmieliński rozumie, że takie perspektywy awansu, rozwoju otworzyła przed wsią polską lewica społeczna, która z komunistami na czele objęła władzę w owym pamiętnym, gorącym lipcu 1944 roku i Chmieliński stara się na

dejmie i poprowadzi dalej nowoczesne gospodarstwo. Wszystko wskazuje na to, że następcą tym będzie 27-letni Staszek. W tym roku właśnie skończył zaocznie Technikum Rolnicze, na gospodarstwie wyrósł, zna je z praktyki jak własną kieszeń, w szkole uzyskał teoretyczną podbudowę. I co nie bez znaczenia, lubi pracę na roli. Ze Staszkiem przegadałem co najmniej godzinę. Reprezentuje on już inne pokolenie.

Jaki jest ten bilans 25 lat chłopskiej rodziny ze Słociny? Srebrne gody Polski Ludowej witają Chmielińscy w radosnym nastroju. Dobrze to były lata, dobry czas. To nic, że bywało trudno, życie nie jest usłane różami, ale przecież zrobili tyle! Oni, Chmielińscy i tysiące, setki tysięcy im podobnych. Z uzasadnionym optymizmem mogą wracać myślami w przeszłość. Nie zmarnowali warunków, stworzonych im przez władzę ludową. Z ufnością spoglądają w przyszłość...

wszystkich kierunkach ze stolicy powiatu dobre, trwałe szosy — do Tarnobrzega, Leżajska, Mielca, Rzeszowa, Stalowej Woli i Sędziszowa. Przecinają łagodnymi łukami lasy i piaszczyste wydmy niosąc na sobie dziesiątki samochodów. System nerwowy zaczął wreszcie sprawnie działać w tym regionie ożywiająca cały powiat. Ruszyły przed paru laty pierwsze pociągi do Kolbuszowej po nowym trakcie kolejowym, który dopiero za naszych czasów połączył Kolbuszowę z Brzozowem, mimo iż trzykrotnie w naszym stuleciu rozpoczęto jego budowę — w roku 1912, w roku 1924/25, wreszcie w okresie COP-u.

W Wydziale Komunikacji Prez. PRN w Kolbuszowej informują mnie, że powiat kolbuszowski łączy dziś ze światem ponad 900 km dróg, w tym twardych około 500 km (w roku 1938 — 557 km, twardych 186 km). Przed wojną regularna komunikacja autobusowa obsługiwała trasy o długości 87 km, a obecnie 220 km (ilość kursów na dobe wynosiła w 1938 roku 26, w 1968 — 350). Najefektywniej brzmi jednak informacja ostatnia — w powiecie zarejestrowano w 1968 roku ponad 4 tys. samochodów, podczas, gdy w 1938 roku było ich zaledwie 23.

Te cyfry są wymowne. Dziś nie chodzi się w Kolbuszowskim boso i pieszo. Jeździ się często,

wszystkimi środkami lokomocji po pracę do wielkich zakładów przemysłowych, które także w naszych czasach wyrósł na obrzeżach płaskowyżu kolbuszowskiego — do Mielca, Stalowej Woli, Tarnobrzega i Rzeszowa. Dobre drogi wiodą Lasowiaków w przyszłość. A określenie „polskie drogi”, a zwłaszcza „rzezowskie drogi” — nie jest już synonimem wertepów i bagnistych krętych traktów, o których kiedyś głośno informację na mapie — „gościniec możliwy do przejechania zależnie od stanu pogody”.

**„WÓZ TESPISA” DOTARŁ DO CELU**

„I że gdzie pójdziesz w ten kraj, czy się obrócisz ku północy, czy ku południowej stronie, wszędzie napotkasz takich samych, jako Czartkowski panowie i taką samą wszędzie chłopską nędzę i uciemiężenie, niewolę i wyzucie z praw”. Ten cytat pochodzi z „Kordiana i chama” Kruczkowskiego, a przytacza go sam Kruczkowski w reportażu „Na próbie” publikowanym w 1937 roku, w „Dzienniku Ludowym”. Pisarz mówi o próbie ochniczego zespołu teatralnego z Markowej koło Łańcuta, pracującego nad sceniczną wersją jego powieści. Przytacza zwierzchni reżysera zespołu Mieczysław Flejszara na temat warunków

pracy zespołu. Chłopi aktorzy schodzą się na próby po ciężkiej pracy na roli, niektórzy idą pieszo w obie strony 20 km, w pluchy jesienne i mrozy zimowe. Po próbie zespół wyruszy na całą noc czterema drabiniastymi wozami wyposażonymi słomą do odległego o 50 km Przemysła. Tam wystąpi ze spektaklem w Domu Robotniczym. „Oto mi będą współczesne pojazdy Tespisa! Wiejski teatr, ciągnący taborem 7 mil do dużego miasta — przyznacie, że to u nas dość niezwykłe wydarzenie — powiada Kruczkowski. I dalej konkluduje: „Na wsi polskiej dzieją się rzeczy, o których w miastach wie się tak mało, lub nie wie wcale... O, chociażby teatr w Markowej. Młodzież, która go tworzy, daleko za sobą zostawia dzień wczorajszy. Jej praca, to już nie jest ta uboga myślą, pusta, bezduszna, przygodna zabawa w „kumedyje”, jaka przez tyle lat wczorajszego, „patronackiego” okresu pracy kulturalno - oświatowej na wsi była jedyną formą zaspokajania, czy może raczej okpiwania, „oszwabiania” teatralnych potrzeb chłopca. To już wyjście — raz na zawsze — z opiołków bezmyślnego dreptania i przytupywania w miejscu — na szeroki, twardy i trudny gościniec samodzielnego kształtowania samodzielności kulturalnej w masie chłopskiej... ambicja budowania własnej,

pełnowartościowej sztuki, powiązanej spoiwymi nićmi z losami, z życiem, z dążeniami wsi dzisiejszej i — jutrzejszej”.

Dzisiaj amatorskie sceny wiejskie stały się zjawiskiem powszechnym, masowym, w kulturalnym krajobrazie rzeszowskim. Jest ich kilkadziesiąt, pracują poważnie w nowych wiejskich domach kultury, lub klubach — nie muszą jeździć nocą drabiniastymi wozami na występy. Ale jakże słusznie przewidział Kruczkowski, kierunek działania kulturalnego wsi polskiej. Jak trafnie dostrzegł w Markowej załóżki tego programu, który dopiero w naszej rzeczywistości mógł znaleźć pełne warunki do realizacji. Wiejskie teatry, wiejskie zespoły artystyczne, ludowe towarzystwa społeczne kontynuują tradycje radykalnych, postępowych ośrodków kulturalnych przedwojennej Małopolski — Markowej, Handzłówek, Albigowej, Gaci Przeworskiej, wsi tarnobrzeskich. Ale czynią to nie wbrew ustrojowi, nie przeciwko władzy — realizują swobodnie sztukę zgodną z dążeniami tamtych działaczy i późniejszych pełnomocników reformy rolnej. Od tych tradycji nie odcinamy się — nie przeciwstawiamy im teraźniejszości — one żyją do dziś. Chłopskie, drabiniaste „wozy Tespisa” z Markowej, o których pisał w reportażu Kruczkowski, dotarły do celu.



(Ciąg dalszy ze str. 3)

wypowiedzi usiłowałem wydużyć z bardzo rozległego tematu to, co uważać można za jego część najważniejszą. Oczywiście, w naszych oczach zanikają niektóre wyrazy, ale powstaje mnóstwo nowych, które zostały zarejestrowane w naszym nowym „Słowniku Języka Polskiego”. Jest tych wyrazów nowych, dotychczas nie rejestrowanych w słownikach, dwadzieścia kilka tysięcy. Znaczna większość tych wyrazów zrodziła się w ostatnim dwudziestopięcioletniu. Są to przede wszystkim nazwy nowych zawodów, nowych przedmiotów, zjawisk, terminów naukowych, upowszechniających się w języku potocznym.

Jednym z znamienitych objawów dzisiejszej epoki jest dająca się zauważyć skłonność do nienadawania nazwiskom form żeńskich, świadczących o stanie cywilnym osoby (owa — mężatka, ówna — córka, bądź panna na wydaniu).

Retrospektywne uwagi — oświadczają na zakończenie prof. W. Doroszewski — chciałbym zakończyć życzeniem skierowanym w przyszłość. Samo narzekanie na to, że gdzieś się źle dzieje, nie pociąga za sobą żadnych skutków. Źródłem nie tylko osiągnięć technicznych, ale wartości moralnych jest praca, tych wartości miernik najważniejszy. Oby świadomość tego, że nasz język jest naszą wspólnotą pracy łączyła nas wszystkich we wspólnej o ten język trosce — to znaczy właściwie w trosce o nas samych, o Polaków, którym przecież powinno zależeć na tym, żeby się ze sobą dobrze porozumiewać.

Televizja żyje pod znakiem jubileuszu 25-lecia PRL oraz prac nad swym programem jesienno - zimowym. Dyrektor programowy TV Włodzimierz Łoziński poinformował przedstawiciela PAP o niektórych programach przygotowywanych z okazji jubileuszu 25-lecia PRL jak też o zmianach w „ramówce” jesienno - zimowej.

W Teatrze Telewizji 21 lipca nadane zostanie widowisko dramatyczne pt. „W kuźni urodzony”. Jest to sztuka wyróżniona pierwszą nagrodą w konkursie Telewizji, rozpisany z okazji 25-lecia. Jej autorem jest Jerzy Janicki. Ośrodek katowicki przygotowuje dwa jubileuszowe programy muzyczne; pierwszy — poświęcony pieśni wojskowej, żołnierskiej i partyzanckiej, drugi — piosenkom 25-lecia.

Wiele naszych programów jubileuszowych transmitować będą kraje należące do Interwizji, m. in. program rozrywkowy „Warszawa, ja i ty” oraz „Z wizytą u Was” nadany z Częstochowy. Z Moskwy transmitować będziemy „Błękitny ogień” w reżyserii Jerzego Gruzdy, poświęcony więzom kulturalnym polsko - radzieckim. Nadany zostanie też program „Moskwa — Warszawa”, ukazujący ludzi, którzy przed ćwierćwieczem wyzwalali Polskę. Będzie to telewizyjne spotkanie przyjaciół z lat wojny.

A teraz kilka słów na temat zmian w tzw. ramówce jesienno - zimowej. Szereg innowacji nastąpi zresztą już w okresie wakacji. „Blok” programów dziecięcych przeniesiony zostanie z wtorku i czwartku na środę i piątek. Zgodnie z życzeniem widzów, Telewizyjny Ekran Młodych nadawany będzie wcześniej, we wtorek przed dziennikiem wieczornym, a więc w godzinach od 17,20 do 19,20. W

soboty i w niedzielę po dzienniku wieczornym oglądać będziemy wyłącznie programy artystyczne i filmy. I ta zmiana została wprowadzona na życzenie widzów.

— W końcu roku — informuje Wł. Łoziński — rozpoczynamy emisję cieszącą się ogromnym powodzeniem serii „Cztery pancerni i pies” — w tym również kilkunastu nowych odcinków. Jeszcze w br. wprowadzimy też na antenę cykl („Pan Wołodyjowski”), złożony z 13 odcinków, nad którymi kończy obecnie prace reż. Paweł Komorowski. Widzowie będą mogli porównać i ocenić obie filmowe wersje powieści Sienkiewicza — telewizyjną i tę, która obecnie wyświetlana jest w kinach. Przygotowaliśmy sporo filmów telewizyjnych zarówno seryjnych, jak też pojedynczych i będziemy starali się przynajmniej raz w tygodniu prezentować jeden polski film telewizyjny. Niedzielne popołudnia będą stały pod znakiem programów artystycznych: widowisk teatru eksperymentalnego, programów satyrycznych, które chcemy wprowadzić od jesieni, estrady rozrywkowej i in.

Liczni widzowie zwracają się do nas z prośbą, aby bezpośrednio po dzienniku wieczornym nadawać najpopularniejsze pozycje programu — przedstawienia teatralne, filmy, programy rozrywkowe, a także programy publicystyczne na wysokim poziomie, takie jak cykl „Drogi i bezdroża II Rzeczypospolitej”. I te życzenia również będziemy się starali spełnić. Dodam zarazem, że przygotowujemy dalsze filmy, które swym charakterem przypominają cykl „Drogi i bezdroża”. Będą one poświęcone problemom międzynarodowym oraz naszym, krajowym. W większym niż dotychczas stopniu będziemy się starali poruszać w „Monitorze” tematykę krajową. (Kt-PAP)

**M**APA W SKALI 1:5 000, do niej kilkusetstronicowy załącznik, w którym opisano obraz miasta w roku 1985. Obraz zupełnie odmienny niż ten, który dziś znamy, który zmienia się na naszych oczach i może dlatego na co dzień nie dostrzegamy, jak nowe domy, ulice i osiedla zarysowują kształt przyszłej metropolii, przynajmniej metropolii w znaczeniu regionalnym. W roku 1985 Rzeszów, bo o nim tu mowa, liczyć będzie 160 tys. mieszkańców, w przyszłości zaś, lecz chyba nie wcześniej niż po roku 2000, stanie się miastem 350—450-tysięcznym. Takie są prognozy, a wynikają one z już opracowanych studiów.

Gotowy jest też plan przestrzennej zabudowy Rzeszowa; krótko o jego zasadniczych założeniach mówił mi mgr inż. arch. Stanisław Majka, kierownik Wydziału Budownictwa, Urbanistyki i Architektury Prez. MRN, a później zwiędziłem z nim miasto, to, które sądzę, że znam od lat, i to, które dopiero powstaje. Mój cicerone wielokrotnie zatrzymywał samochód wśród łąnów zboża, na odległych peryferiach gdzie, jak twierdził, nie ma już ani skrawka nierozdysponowanych gruntów.

Opracowując ten plan urbanistyczny i współdziałając z nim reprezentanci innych dyscyplin musieli pokonać wiele trudności. Poważne kłopoty nastęrczo do dziesięć lat minionych, szczególnie ubiegłego i pierwszej połowy bieżącego stulecia. I tu słów kilka o historii. Nie będziemy sięgać do metryki Rzeszowa, warto jednak wspomnieć, że kopiec fundamenty pod osiedle Piastów nabrał na ślady osadnictwa neolitycznego. W Staromieściu natomiast przetrwały ślady osadnictwa z okresu halszackiego, rzymskiego i wczesnośredniowiecznego. Dla interesującego nas tematu te czasy nie mają istotnego znaczenia, możemy sobie też podarować późniejsze epoki, zadowalając się stwierdzeniem, że w XVII i XVIII wieku, za Mikołaja Spytki Ligęzy, a później Lubomirskich, Rzeszów tworzył kompozycyjną całość, której zasadniczymi elementami był zamek i obiekty sakralne. W połowie XVIII wieku miasto liczyło 3 tys. mieszkańców.

Minione stulecie i początki bieżącego przyniosła rozbudowę Rzeszowa, który staje się siedzibą starostwa, lecz był to rozwój chaotyczny, spotęgowa-

Zdzisław Kozioł

Znasz li to miasto? (II)

# ZRZUCONY

ny kapitalistyczną spekulacją gruntami. W efekcie zniszczono wytworzone uprzednio wartości układu przestrzennego miasta. Chociaż Rzeszów uzyskał połączenie kolejowe z Krakowem, Lwowem i Jasłem, to jednak był typowa miścina galicyjska i taka właściwie pozostała do roku 1935, spełniając funkcję ośrodka administracyjnego i usługowego dla wiejskiego zaplecza, odgrywającego też pewną rolę w komunikacji.

Realizacja programu Centralnego Okręgu Przemysłowego miała być historyczną szansą dla Rzeszowa. W roku 1935 zlokalizowano tu Zakłady Cegielskiego, a w dwa lata później Polskie Zakłady Lotnicze. Wraz z powstaniem przemysłu rośnie szybko liczba mieszkańców, osiągając w 1938 roku 41 tys. Myślano też o położeniu kresu chaotycznej zabudowie miasta, pogłębionej nowymi inwestycjami. „Zawalidrogą” dla dalszej, sensownej zabudowy przestrzennej stały się PZL. Z tym faktem musieli się pogodzić naukowcy z Politechniki Krakowskiej: Kazimierz Dziewoński i Władysław Śmigieński, którzy w myśl wytycznych Biura Planowania Krajowego przy Ministerstwie Skarbu opracowali w latach 1938—1939 ogólny plan zabudowy miasta, pierwsze tego rodzaju studium w historii Rzeszowa.

Słyszałem opinie, że odnalezienie w archiwum tego dokumentu wyprzedziło ze ślepego zaułka powojenne planowanie zabudowy Rzeszowa. Kilka więc słów o planie Dziewońskiego i Śmigieńskiego. Przewidywali oni m. in. generalną zmianę układu komunikacyjnego przez budowę trasy W—Z (połączenie Lwowskiej z Krakowską) oraz trasy N—S (połączenie obecnej Marszałkowskiej z Dąbrowskiego), która w pobliżu zamku miała połączyć lewobrzeżny Rzeszów z Drabnianką. Arterią tranzytową usytuowano na północnym skrajku miasta, a kierunek N—S przewidywano odciążyć trasą biegnącą zachodnim i południowym obrzeżem miasta. Plan

przewidywał wzniesienie 6 dużych kompleksów mieszkaniowych, raczej mocno zagęszczonych; przewidywano, że po 30 latach, a więc w roku 1969 (!!) Rzeszów osiągnie liczbę 100 tys. mieszkańców, a docelowo — 150 tys. Plan ten powstał w innych warunkach społecznych, przyświecały mu określone cele gospodarcze, ale jak na owe czasy był niewątpliwie postępowy; liczne jego elementy jeszcze dziś nie straciły na aktualności. Tak przynajmniej oceniają go nasi urbanisci, którzy przyznają, że wywarł on duży wpływ na dalsze opracowania urbanistyczne, lecz o kopiowaniu dawnych założeń nie ma oczywiście mowy.

Wojna na samym wstępie przerwała realizację tego planu; wprowadził podczas okupacji zmieniono nieco układ komunikacyjny, lecz było to tylko cząstką zamierzeń przedwojennych. Po wyzwoleniu Rzeszów, który niespodziewanie stał się miastem wojewódzkim, liczył zaledwie 29 tys. mieszkańców, w roku 1950 osiągnął 44 tys., w roku 1955 — 52 tys., w 5 lat później — 63 tys., a obecnie przekroczył już 80 tys. Miasto rozwijało się więc raczej dynamicznie, zważywszy, że początkowo nie myślano o stworzeniu tu ośrodka przemysłowego. Miało być ono wyłącznie siedzibą władz administracyjnych; przemysł reprezentowała tylko WSK, dawne PZL.

Ta generalna wytyczna zaciężyła na dalszych losach Rzeszowa, jej skutki w pewnym stopniu odczuwamy jeszcze dziś. Nastąpił jakby regres w planowaniu przestrzennej zabudowy miasta, chociaż były też opracowania ciekawe. I tak np. w latach 1948—1949 Zbigniew Wzorek opracował koncepcję planu ogólnego oraz studium planu szczegółowego śródmieścia, zwracając m. in. uwagę na rolę zieleni oraz zabytłok w kompozycji przestrzennej; plan ten cechowało dążenie do uporządkowania układu funkcjonalnego, ale autor bazował na dotychczasowych lokalizacjach.

Projekt szczegółowego planu śródmieścia z roku 1955 nie należał do oryginalnych, był wręcz zachowawczy, zalecał zbyt duże zagęszczenie ludności w centrum miasta, nie doceniał znaczenia komunikacji, chociaż proponował dokonanie korekty tras W—Z i N—S oraz wprowadzenie komunikacji trolejbusowej. Projekt planu ogólnego z lat 1954—1955 zakładał, że Wisłok będzie osią kompozycji układu przestrzennego; na prawym brzegu rzeki miało powstać duże osiedle przy równoczesnym ograniczeniu zabudowy w zachodniej części miasta. Największymi walorami z opracowań powojennych odznaczał się plan etapowy rozwoju Rzeszowa, opracowany w roku 1957, którego autorzy uzyskali I nagrodę Komitetu Urbanistyki i Architektury; plan ten umował kompleksowo zabudowę Rzeszowa.

Powojenne plany nie zakładały zbyt dużego rozwoju miasta; według najbardziej optymistycznych prognoz miało ono w roku 1980 liczyć do 110 tys. mieszkańców bez perspektywy dalszego wzrostu. Było to konsekwencją przyznania Rzeszowowi głównie funkcji administracyjnej. Przyjęto koncepcję budownictwa jednorodzinnego, stąd obecny Rzeszów otoczony jest pierścieniem niskich domów, które znajdują się nawet w obrębie miasta, gdzie powinno dominować budownictwo wysokie. I to m. in. miałem na myśli mówiąc, że skutki powojennych koncepcji odczuwamy do dziś. Właściciele gruntów dzielili je na parcele, uzyskiwali zezwolenia na budowę lub sprzedawali działki, którymi też spekulowano, a ułatwiał to brak szczegółowych planów zabudowy Rzeszowa. Jakże często praktyki te godziły w interes publiczny. Uwi-



## Pasja godna podziwu

Jesteśmy z wizytą u Władysława Kamińskiego — 77-letniego mieszkańca Brzezówki, w powiecie ropczyckim. Sędziwy twórca nożem i dłutem przybliżył czas „narodzin” nowej rzeźby z drewna lipowego. Pracuje z pasją. I aż się nie chce wierzyć, że dotąd posiada tyle zapału i godnej podziwu inwencji twórczej.

Władysław Kamiński jest twórcą wielu rzeźb, przede wszystkim postaci ludzkich, obrazujących życie i pracę dawnych mieszkańców podropczyckiej wsi. Od kilku lat utrzymuje on stały kontakt ze Spółdzielnią Zrzeszenia Chałupników i Wytwórców Przemysłu Ludowego i Artystycznego w Krakowie, która jest stałym odbiorcą rzeźb Władysława Kamińskiego. Otrzymuje on również liczne zamówienia od osób prywatnych i instytucji.

Sędziwy twórca otoczony jest troskliwą opieką ze strony dyrekcji Muzeum Okręgowego w Rzeszowie.

Tekst i Fot.: (eski)

# BALAST PRZESZŁOŚCI

doczniło się to wówczas, gdy przyznano później Rzeszowowi inne funkcje społeczno-gospodarcze, co wymagało odmiennej koncepcji jego zabudowy.

Kilka słów o nowej funkcji Rzeszowa, która wykrystalizowała się na początku lat 60-tych. W myśl tych założeń Rzeszów ma być nie tylko centrum administracyjnym, lecz także stolicą regionu południowo-wschodniego, w jakimś stopniu powiązanego z sąsiednimi regionami: Krakowskim, Kieleckim i Lubelskim, a także Lwowem i Koszycami. Rzeszów leży bowiem na skrzyżowaniu krajowych i międzynarodowych szlaków biegnących z północy na południe i zachodu na wschód, co m. in. wyznacza mu ważną rolę w turystyce.

Wprowadzenie terminu *stolica regionu* w miejsce *wojewódzkiego ośrodka administracyjnego* nie jest tylko kwestią nazewnictwa; to rozgraniczenie ma istotne znaczenie, gdyż chodzi tu o integrację terenów Polski południowo-wschodniej, z których po wojnie utworzono województwo rzeszowskie. W latach 60-tych zaczyna ono nabierać cech regionu, który staje się coraz bardziej zintegrowany gospodarczo i społecznie z punktem ciężkości właśnie w Rzeszowie. Proces integracji nie przebiegał autonomicznie, przyspieszało go świadome działanie, a nie bez znaczenia była ranga samego Rzeszowa, który długo tylko z nazwy był stolicą regionu.

Na przełomie lat 50-tych i 60-tych rozumiano, że sama administracja nie może być czynnikiem miastotwórczym; konieczny jest przemysł. Atutem Rzeszowszczyzny (wówczas można już było mówić o Rzeszowszczyźnie, a nie tylko o woj. rzeszowskim) był istniejący tu przemysł maszynowy oraz bogate złoża surowców mineralnych. Dzięki przemysłowi przeludniona wieś otrzymuje pracę, sporo ludzi może zamieszkać w miastach. Zaczyna się proces urbanizacji województwa, w którym poczesne miejsce przypada Rzeszowowi.

I wreszcie trzecia funkcja Rzeszowa — miasto staje się ośrodkiem akademickim, czego oczywiście nie przewidywał plan przedwojenny czy powojenny. Ta trzecia funkcja jest ściśle powiązana z dwoma pierwszymi; ośrodek akademicki integruje region południowo-wschodni, czyni z Rzeszowa coś więcej niż siedzibę administracji wojewódzkiej, a kierunki rozwoju nauki w pewnej mierze zsynchronizowano z potrzebami przemysłu i w ogóle gospodarki.

Po sprecyzowaniu koncepcji społeczno-gospodarczego charakteru miasta Rzeszowa przystąpiono do opracowania nowego planu jego przestrzennej zabudowy, który powstał w latach 1962-1965. Pod koniec 1966 r. zaopiniowało go Prez. WRN, następnie przekazano Ministerstwu Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych. Niestety, plan nie jest jeszcze zatwierdzony, ale stanowi podstawę do opracowań szczegółowych.

Przestrzenne planowanie miejskie jest przedsięwzięciem niezwykle trudnym i czasochłonnym; wymaga ono wielu studiów wstępnych, które sporządzają specjaliści różnych dziedzin: urbanisci, architekci, ekonomiści, demografowie, geodzy, niebrakująca jest też opinia meteorologów, a ostatnio coraz częściej

mówi się, że trzeba także korzystać z usług socjologów (np. polscy socjologowie wnieśli cenny wkład przy odbudowie Skopje).

Zatrzymajmy się chwilę na sprawach klimatycznych. Na wstępie pewien przykład: na jednym skraju kotliny zlokalizowano osiedle robotnicze, na drugim zaś cmentarz. Gdy kotlinę przecinał wysoki nasyp linii kolejowej nastąpiła zmiana mikroklimatu: na osiedlu stał się on nadmiernie wilgotny, tam zaś gdzie znajdował się cmentarz warunki klimatyczne poprawiły się. Podobne przykłady możemy znaleźć także w Rzeszowie: wzgórze Pobitna, a z drugiej strony zwarta zabudowa śródmieścia spowodowała pogorszenie klimatu w pewnych częściach Rzeszowa, który tu w ogóle jest raczej niekorzystny. Dolina Wisłoka jest obniżona w stosunku do sąsiednich wzniesień o 50 do ponad 100 m; splaya do niej zimne powietrze powodując utrzymywanie się inwersji. Nie wnikając w szczegóły tego zjawiska warto podkreślić, że powoduje ono zaleganie nad miastem warstw powietrza z nadmiarem pary wodnej, zanieczyszczonego ponadto pyłami itp. Stąd wynika zasadnicza konkluzja, wyrażona reszta w planie zabudowy Rzeszowa: nie można tu lokalizować przemysłu uciążliwego. Poszczególne dzielnice miasta mają swój mikroklimat, mniej lub bardziej korzystny, czym należy się kierować lokalizując osiedla mieszkaniowe. Np. Drabiniąka odznacza się niekorzystnymi warunkami, które zwarta zabudowa pogorszyłaby jeszcze, gdyż uniemożliwiłaby „wietrzenie” doliny Wisłoka. Dzielnica, która tam powstanie, jest tak zaplanowana, by nie pogłębić skutków i tak niekorzystnego klimatu. Dodam jeszcze, że najlepszy klimat ma Baranówka, pśn-zach. Pobitno, pśn-zach. Staromieście, Zwierzycza oraz fragmenty Staroniu.

Skoro już mowa o warunkach naturalnych, to warto wspomnieć, że z uwagi na strukturę geologiczną nie ma za wiele odpowiednich terenów budowlanych; z wyjątkiem wzgórz po obu stronach doliny Wisłoka są to tzw. grunty słabonośne, szczególnie kłopotliwe w wypadku zastosowania budownictwa urzemysłowionego. Warunki geologiczne podrażniają koszt budowy, wymagają zastosowania odpowiednich projektów, np. domy nad Wisłokiem będą wznoszone na palach. Kłopoty te uaoacznia pochyłony wieżowiec przy ul. Słowackiego...

Autorzy planu zabudowy miasta musieli pokonać trudności, których nie można prze rzucić tylko na karb warunków naturalnych. Jak już wspominałem plan przekazano do zatwierdzenia pod koniec 1966 r. W oparciu o ówczesne zapotrzebowania przez naczono na Staroniwie 38 ha na magazyny i składy. Po roku 1966 wpłynęły dodatkowe zapotrzebowania, w wyniku czego poszerzono ten obszar do 100 ha. Jeszcze przed 3 laty nie sądzono, że zabraknie tu terenów, nie przewidziano terenochłonnych inwestycji o ważnym znaczeniu gospodarczym dla miasta, nie wiedziano np., że powstanie w Rzeszowie „Mostostal” czy „Hydrobudowa”. Nowe przedsięwzięcia, tak miastu potrzebne, muszą mieć magazyny; w rejonie Głogowa powstaje więc baza składowa, dla której przeznaczono 200 ha z możliwością powiększenia tego obszaru do 1200 ha. Dla porównania: cały przedwojenny Rzeszów mieścił się na 912 ha, z czego blisko połowa to tereny niezabudowane.

Wyłaniają się dwie bardzo istotne sprawy: kiedy opracowywano plan zabudowy miasta wiele przedsięwzięć nie wiedziało o czekających je zadaniach. Dopiero obecna pięciolatka przynosi w tym zakresie jasność, co pozwala sprecyzować ostateczne założenia urbanistyczne przyszłego Rzeszowa. Jego rozwój wymaga ciągle nowych terenów, a w międzyczasie wyszła ustawa o ochronie gruntów rolnych. Rzeszów powstaje na gruntach ornych, którymi teraz trzeba oszczędnie gospodarzyć niż czyniono to dotychczas w Polsce. Dlatego Rzeszów usiłuje „iść” w górę, na razie nieśmiało, lecz w przyszłości, mimo niesprzyjających warunków geologicznych, wysokich budynków będzie coraz więcej. Budowie Rzeszowa „w górę” nie sprzyjają też pewne przepisy: dzielnice magazynowe zajmują spore obszary, władze miejskie zalecają więc budowę wielopiętrowych magazynów, ale przepisy nakazują korzystanie z dokumentacji typowej, która z reguły przewiduje obiekty parterowe.

Obserwując rozbudowę Rzeszowa zazwyczaj nie wiemy o tych i wielu innych kło-

potach, które występują na etapie planowania. A trudności realizacji tego planu? Przecież od roku 1985 liczba mieszkańców ma się podwoić! Miasto zupełnie zmieni swoje oblicze. O szczegółach za tydzień, teraz zaś słów kilka o sposobach przezwyciężenia minionych dziesięcioleci, które umacniały galicyjską brzydotę Rzeszowa. Specjaliści już dawno zalecali burzyć całe dzielnice, a na ich miejsce budować nowe. Były jednak opory. I ludzi bezpośrednio zainteresowanych, i władz, które sądziły, że latając i kłajstrując bez składu i ładu zabudowane ulice uczynią z Rzeszowa stolicę województwa. Przypomina mi się pewien epizod sprzed lat: byłem w gabinecie dawnego ojca miasta akurat w momencie, gdy wydawał zastępcy dyspozycje:

— Idź na tę naradę i pilnuj, bo te inżynierki chcą nam Rzeszów rozwalić.

Przewyciężono już dawne opory, przystąpiono z wielkim rozmachem do burzenia parterowego miasta, znikają nawet całe ulice, słowem — wi dzimy wielki rozmach podejmowanych prac budowlanych. Na to wielokrotnie zwracali już uwagę przyjezdni, podkreślając, że Rzeszów imponuje śmiały mi decyzjami. Ten rozmach zmienia oblicze miasta, a przykładem niech będzie chociażby trasa N-S, obiektami już o charakterze wielkomiejskim, usytuowanymi w panoramie rzeszowskiej. Tak, miasto zaczyna nabierać swojego oblicza, zrzuca balast przeszłości.

Skoro jednak piszę o szybkim tempie wyburzeń, które generalnie rzecz biorąc są konieczne, to trzeba podkreślić, że przychodzi też płacić cenę za przyjętą po wojnie koncepcję niskiego Rzeszowa... Wprawdzie nie wypowiedziano totalnej wojny wszystkim niskim obiektom, bo plan przewiduje osiedla domów jednorodzinnych, ale nieodwracalnie kończy się „parterowy” rozdział w historii miasta. O szczegółach zaś następnym razem.

Miasto Rzeszów. Ogólny Plan Zagospodarowania Przetrzennego opracowany w Miejskiej Pracowni Urbanistycznej Prezydium MRN.  
Zespół autorów:  
Główny projektant:  
mgr inż. arch. Władysław Hennig  
Współpraca autorska:  
mgr inż. arch. Jan Lisowski  
mgr inż. arch. Elżbieta Stafiej  
Program:  
mgr inż. arch. Stanisław Majka  
mgr Maria Moło  
Współpraca w zakresie komunikacji:  
mgr inż. arch. Włodzimierz Chlebowicz  
Studium możliwości rozwoju wch:  
mgr inż. arch. Wiesław Pankiewicz

# Kultura polska na świecie

## Wieczór moniuszkowski w Wiedniu

Z okazji 25-lecia PRL, w Cytelnii Polskiej w Wiedniu odbył się wieczór moniuszkowski, w czasie którego odczyt nt. twórczości Moniuszki wygłosił profesor Akademii Muzycznej dr Erik Werba. Utwory polskiego kompozytora wykonała Aderina Gallert — polska śpiewaczka zamieszkała w Austrii. Na koncert przybyli przedstawiciele tutejszego życia muzycznego.

## Radziecki plastyk o polskich plenerach

Na łamach „Sowieckiej Kultury” ukazał się artykuł radzieckiego artysty — plastyka Włodzimierza Cigala omawiający znaczenie akcji plenerowych w zakładach pracy, podejmowanych przez polskich plastyków. — Jakże kusząca wydaje się perspektywa organizowania podobnych akcji plenerowych również dla radzieckich artystów — plastyków — stwierdza Cigal.

## Odkrycie cennych archiwaliów, dotyczących spisku Piotra Ściegiennego

W. Djakow, autor prac poświęconych związkom kulturalnym rosyjsko-polskim i polsko-ukraińskim odkrył nieznanne archiwalia, dotyczące sprawy ks. Piotra Ściegiennego. Są to akta procesu sądowego Ściegiennego, składające się z 9 tomów i przeszło 5,5 tys. stron innych materiałów, m. in. własnoręcznych tekstów spiskowca.

## Powieść J. Parandowskiego w ZSRR

Nakładem wydawnictwa „Chudożestwiennaja Literatur” ukazała się w Związku Radzieckim w 50 - tysięcznym nakładzie powieść Jana Parandowskiego „Niebo w płomieniach”. Przekład — J. Łysienki.

## Zespoły artystyczne włókniarzy na występach zagranicznych

(PAP). Ostatnio powrócił z kilkudniowego tournée po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie amatorski zespół taneczny Zakładów Bawełnianych im. Sz. Harnama w Łodzi. Druga część zespołu, która nie brała udziału w tym wojażu wybiera się do Rumunii.  
Do Bułgarii na Międzynarodowy Festiwal Folklorystyczny wyjechał zespół tańców ludowych Zakładów J. Marchlewskiego. W Festiwalu wezmą udział zespoły reprezentujące 16 państw. Łodzianie pokażą m. in. tańce łowickie, opoczyńskie i krakowskie, a także ludowe tańce bułgarskie.

## Sukces chóru Politechniki Szczecińskiej

(PAP). Chór akademicki Politechniki Szczecińskiej, który na krakowskim festiwalu kulturalnym „Wiosna studencka 1969” otrzymał główną nagrodę Ministra Kultury i Sztuki, zdobył ostatnio pierwsze miejsce w dorocznym Międzynarodowym Festiwalu Pieśń Chóralnej w Hadze. Za największe wydarzenie artystyczne festiwalu uznano „Stabat Mater” Krzysztofa Pendereckiego pod dyr. Jana Czyrockiego, który jest równocześnie kierownikiem artystycznym chóru.

## Spotkanie przyjaciół

Z okazji Dni Kultury Polskiej w Związku Radzieckim grupa polskich pisarzy odbyła spotkanie z zespołem redakcyjnym „Literaturnej Gazety”. O związkach literatury obu krajów, a także o swych planach twórczych mówili m. in. Julian Kawalec, Józef Lenart, Antoni Olcha i Wilhelm Szewczyk. Ich obszerny wywiad, opatrzone zdjęciami pisarzy ukazały się w jednym z ostatnich numerów „LQ”.

## Polska grafika w Jugosławii

Trwają przygotowania do otwarcia w Belgradzie wystawy pn. „Współczesna grafika polska”. Udział w ekspozycji weźmie 43 artystów — grafików, którzy przedstawia po 3 prace.

## Centkiewiczowie w języku rumuńskim i węgierskim

W 16 tys. egzemplarzy, nakładem Editura Tineretului, wyszedł w Rumunii zbiór opowiadań polarnych Aliny i Czesława Centkiewiczów. Opowiadania z tomów „Odarpi, syn Egławy” i „Opowieści spod biegun” tłumaczyła Elena Linta.

Inna powieść tych autorów pt. „Człowiek o którego upomniało się morze” ukazała się w tłumaczeniu na język węgierski. Książkę w przekładzie Ewy Sebok opublikowało w 17,5 tys. egzemplarzy wydawnictwo Tancsics w Budapeszcie.



Fot. M. KOPEC

**B**YŁY TO PIERWSZE dni lipca 1967 r. piękne, słoneczne, wprost upalne. Kanikuła w całkowitym tego słowa znaczeniu. Ruchliwy o każdej porze dnia i nocy Paryż wydawał się szczególnie w godzinach popołudniowych jak gdyby miastem wymarłym. Puste ulice zięjące upałem od rozżarzonych bruków, zasnuwane w wielu domach żaluzjami okna, świadczyły o tym, że sezon urlopowy w Paryżu już się rozpoczął, w związku z czym znaczna część paryżan wyjechała nad kanał La Manche bądź też na Lazurowe Wybrzeże „Cote d'Azur”. Ci zaś, którzy pozostali, w samo południe o ile nie pracowali to szukali schronienia w cieniu kawiarzanych parasoli, w bistrach, kafejkach czy barach... Od zwierciedleniem wakacyjnej atmosfery Paryża była również czytelnia Nationale Bibliothèque, świecąca już o tej porze raczej pustkami. Wcale mnie to nie przerażało, wprost przeciwnie, ogromnie się tym ucieszyłem, gdyż była to doskonała okazja do pracy dla nie mającego zbyt dużo czasu cudzoziemca. Wertując właśnie prasę polonijną z lat międzywojennych, uwagę moją zwrócił lipcowy egzemplarz „Dziennika Ludowego”, organu polskich komunistów we Francji, w którym znalazłem przedrukowany z „Dąbrowszczyka” list — odezwę polskich ochotników w Hiszpanii walczących o wolność Hiszpańskiej I Republiki w szeregach 6 kompanii, Batalionu im. Palafoxa. W odezwie między innymi czytamy: „Hasło — Za wolność Waszą i naszą jest naszą myślą przewodnią i bez różnicy przekonań politycznych i ras bronimy honoru ludu polskiego, żydowskiego, ukraińskiego i białoruskiego w Polsce. Was — robotników, chłopów i inteligencję pracującą w Polsce — wzywamy do jak najrychlejszego stworzenia Frontu Ludowego, który położy tamę i kres barbarzyństwu hitlerowskiemu. Proletariusze i antyfaszyści, których faszyzm wygnał na tułaczkę po całym świecie, odezwijcie się...”

Nazwisko podpisanego pod odezwą — za 6 kompanię, jej dowódcy — Jana Tkaczowa przypomniało mi spotkanie p. Tomasza Wiśniewskiego, towarzysza walk Tkaczowa w Hiszpanii z młodzieżą szkolną w Rzeszowie.

## „TOAST” nowy film dokumentalny

Z okazji 25-lecia PRL w dniu 21 lipca 1969 r. na ekranach kin wchodzi kolorowy film dokumentalny pt. „Toast” w reżyserii Jana Łomnickiego.

Film został zrealizowany z myślą o srebrnym jubileuszu PRL i jest dokumentalną impresją, rodzajem filmowego poematu.

Pejzaż dzisiejszej Polski w filmie Łomnickiego — to pejzaż przemysłowy, dynamiczny, ulegający ciągłej przemianie. Nie brakuje w tym filmie ludzkiego wzruszenia i słusznej dumy z dzieła dokonanego przez cały naród w ciągu ostatniego ćwierćwiecza Polski Ludowej.

J. Ł.

## ...w radiu węgierskim

(PAP). W związku z obchodami 25-lecia PRL radio węgierskie, począwszy od 21 lipca nadawać będzie w obu programach: „Kossuth” i „Petoefi” specjalny program pt. „Tydzień Kultury Polskiej”. Obejmą one audycje muzyczne, poświęcone twórczości Moniuszki, Szymanowskiego, Lutosławskiego i Pendereckiego. Przed mikrofonami radia węgierskiego wystąpią ponadto: Halina Czerny-Stefańska, Stefania Woytowicz i Bohdan Paprocki.

W dniu Święta Odrodzenia radiostacja „Kossuth” nada 50-minutową audycję literacko-muzyczną, poświęconą twórczości polskiej. Czasopisma węgierskie zamieszczają materiały, związane z Polską. Miesięcznik literacki „Nagyvilág” drukuje np. na jedenastu stronach przekłady wierszy najznakomitszych współczesnych poetów polskich.

Spotkanie to było nie tylko doskonałą lekcją historii o udziale polskich ochotników w obronie zagrożonej przez faszyzm Republiki Hiszpańskiej, ale również lekcją historii ruchu robotniczego i ludowego na Rzeszowszczyźnie.

Czytając w Paryżu odezwę kompanii Tkaczowa, utwierdziłem się w przekonaniu, że polskim ochotnikom w drodze do Hiszpanii,

rekę do najbliższej wioski, skąd pociągami pojechali do Miluzy...” Poszczęściło mi się również w miluzie. W małej portowej tawernie leżącej tuż nad Kanałem Ren-Rodan, poznałem starego robotnika Quesden Raul. „Doskonale pamiętam miłych, przystojnych Polaków, idących na wojnę do Hiszpanii, z którymi wypilem w tej właśnie tawernie butelkę wina”.

między innymi Pałac Inwalidów, Wieżę Eiffla, Łuk Triumfalny, Luwr, Trocadero, Panteon, Sorbonę, grób Napoleona.

Odcinek Paryż — San Sebastian miał stanowić ostatni etap podróży w drodze do Hiszpanii. Zgodzie z pierwszym planem, udając się tam grupa, w której się znajdowali Tkaczow i Wiśniewski miała przeprawić się z Ba-

mian za 20 milionów franków wypłaconych Napoleonowi przez Księstwo Warszawskie w gotówce, Francja ofiarowała Księstwu 47 mln franków w zobowiązaniach, których nigdy nie zrealizowała. Z Bayonne pojechałem do Tuluzi. Tu doskonale pamiętają jeszcze rok 1937 i kilkunastodniowy pobyt ochotników udających się do Hiszpanii. W Tuluzie zwiędłym jeden z najstarszych uniwersytetów francuskich (1229) i udałem się do Perpignan, gdzie niedaleko tego miasta w Pirenejach przekroczyła granicę hiszpańską ponad 200-osobowa grupa ochotników. „Od granicy było 30 kilometrów do Figueras, najbliższego miasta na ziemi hiszpańskiej” — tu rozpoczęła się epopeja hiszpańska naszych rzeszowiaków. Nie będę opisywał ich losów wojennych w Hiszpanii, zrobił to sam p. Tomasz w swoich „Wspomnieniach”, nie mogłem również przemierzyć ich szlaku wojennego ze względu na trudności wizowe. W drodze powrotnej zwiędłym jeszcze tylko obozy internowanych w Argeles i Gurs. Tu, po upadku Republiki Hiszpańskiej przebywali ochotnicy z wojny domowej w Hiszpanii, m. in. Polacy.

Argeles, małe nadgraniczne miasteczko francuskie, stosunkowo dość czyste, białe fasady domów, drogi wysadzone aloesami, czystości i starannie utrzymane winnice, w niczym nie przypominały Argeles z 1939 roku, pełnego baraków otoczonych zasiekami z kolczastego drutu.

Tu przebywał ciężko ranny pan Tomasz, skąd przewieziono go do Gurs, gdzie przebywało około 600 Polaków — 475 emigrantów z Francji i 147 z Polski. Z Francji ciężko rannego pana Tomasza przewieziono do ZSRR, skąd powrócił do Ojczyzny — Polski Ludowej, o którą walczył w latach międzywojennych na rodzinnej Rzeszowszczyźnie i na polach Hiszpanii.

Nie doczekał Polski Ludowej Jan Tkaczow, zginął z myślą o niej pod Estramadurą w lutym 1938 roku.

Emilian Bliźniak

# ZA WASZĄ I NASZĄ WOLNOŚĆ

jak również w czasie walk w jej obronie, towarzyszyła myśl o Polsce Ludowej. Przecież już sam wyjazd do Hiszpanii związany był z rozlicznymi niebezpieczeństwami, co potwierdzają w całej rozciągłości wspomnienia p. Tomasza Wiśniewskiego. Zafascynowany jego opowiadaniem postanowiłem przerwać na chwilę pracę w Nationalnej Bibliotece i przemierzyć „szlak hiszpański” moich rzeszowskich rodaków, przynajmniej na terenie Francji. W tym też celu wyjechałem do Bazylei (Basel) w Szwajcarii, starego ośrodka kulturalnego, gdzie przy okazji zwiędłym katedrę z XI w. i uniwersytet z 1400 r. Wędrowkę moją rozpocząłem od małego hoteliku, gdzie jak wspomina p. Tomasz... „przyszły 2 młode Francuzeczki, które na granicy zagadły strażników, co pozwoliło im przekroczyć granicę, z kolei udając zakochanych doprowadziły ich pod

Polacy byli, są i będą zawsze „charmanty” powiedział mi na pożegnanie. — Proszę pozdrawić ode mnie Polskę”.

Z Miluzy wróciłem ponownie do rozpalonego upałem Paryża. Tu bez większych trudności udało mi się ustalić podpunkt — małą kafejkę, znajdującą się niedaleko gmachu Związków Zawodowych CGT, gdzie, jak powiedział mi dozorca sąsiedniej kamieniczki, p. Bernard Bertrand, był punkt zborny Polaków jadących do Hiszpanii. — „Mamy pozdrowienia dla Ottona” — hasło to wystarczy kelnerowi owej kafejki, wspomina dalej p. Tomasz, aby przyjąć nas, zaprowadzić do specjalnego pokoju, gdzie było około 30 osób, następnie do budynku CGT gdzie przydzielono nam hotele. 4-dniowy pobyt w Paryżu wykorzystano na zwiedzenie samego miasta i jego najciekawszych zabytków historycznych,

yonne łodziami w okolice San Sebastian w celu odbicia tego znacznego nad Zatoką Biskajską kąpieliska hiszpańskiego z rąk frankistów. W ostatniej chwili jednak nastąpiła zmiana trasy w kierunku Hiszpanii w związku z otrzymaniem wiadomości o zatopieniu przez faszystów pod San Sebastian poprzednio wysłanych łodzi z ochotnikami francuskimi. Grupa zamiast więc do Bordeaux, została skierowana do Tuluzi.

Oczywiście zrobiłem po raz pierwszy wyłom w trasie podróży rzeszowiaków i pojechałem do Bayonne. Chciałem zobaczyć miejscowość, gdzie sformowany został na początku I wojny światowej pierwszy polski oddział we Francji zwany Legionem Bajończyków, lub po prostu Bajończykami. Tu został również podpisany układ w 1808 roku narzucony przez Napoleona I rządowi Księstwa Warszawskiego, w myśl którego w za-

## ◆ KONKURS FILMOWY ◆ KONKURS FILMOWY ◆

Kinematografia polska w ciągu 25 lat zrealizowała kilka cennych pozycji filmowych otwierających walkę narodu polskiego o wyzwolenie i umocnienie władzy ludowej. Filmy te posiadają duże walory ideowe i wychowawcze.

Z okazji srebrnego jubileuszu Polski Ludowej Centrala Wynajmu Filmów, WZKin i „Widnokrąg” w Rzeszowie organizują konkurs pt. „CZY ZNASZ FILMY FABULARNE, KTORYCH TEMATYKA POŚWIĘCONA JEST WALCE O POLSKĘ LUDOWĄ”?

Już od stycznia br. na ekranach kin wyświetlane są filmy polskie o tej tematyce — w ramach imprezy pt. „Kinematografia w 25-lecie PRL — Przegląd Filmów Polskich 1969”. Sądymy, że nasi Czytelnicy, nie będą mieli trudności w rozwiązaniu zadań konkursowych.

### PYTANIA KONKURSOWE:

1. Film Andrzeja Wajdy według powieści Bogdana Czeszki pt. „Pokolenie” mówi o bohaterskiej walce młodzieży. W jakim czasie młodzież toczyła tę walkę?
2. Oto fotos filmu pt. „Zerwany most” w reżyserii J. Passendorfera. Treść filmu opowiada o walkach z bandami po wyzwoleniu. Jakie to były bandy?
3. Jaki film przedstawia historię słynnego zamachu na generała SS Kutschere, dokonanego w 1943 r.? Podaj tytuł filmu.
4. Gdzie toczy się akcja filmu pt. „Barwy walki” wg powieści Mieczysława Moczara?
5. Podaj tytuł filmu, który obrazuje tragiczny los powstańców warszawskich w ostatniej wojnie.



6. Akcja filmu pt. „Potem nastąpi cisza” toczy się od jesieni 1944 r. do wiosny 1945 r. Dwaj bohaterowie tego filmu to...?



7. Jeszcze trwają walki z bandami, a już zjeżdżają się ludzie z innych dzielnic Polski. Na jakich ziemiach toczy się akcja filmu pt. „Skapani w ogniu”?

8. Podaj tytuł filmu o walce żołnierza polskiego, który ustawił słupy graniczne na Odrze i Nysie. Oto fotos z tego filmu.

9. Pracownik aparatu bezpieczeństwa kapitan Morwa tropi i doprowadza do likwidacji bandę NSZ-u „Pioruna” w rejonie Pienin. Podaj tytuł filmu.

10. Na południowo-wschodnich rubieżach Polski (Bieszczady) walczą z nacjonalistycznymi bandami UPA jednostki Wojska Polskiego. Jak brzmi tytuł filmu i tytuł powieści, wg której został sfilmowany.

Uczestnicy Konkursu powinni do 15 sierpnia nadesłać prawidłowe odpowiedzi pod adresem: Centrala Wynajmu Filmów, Ekspozytura w Rzeszowie, ul. Rejtana 2. Odpowiedzi należy nadesłać na kartce pocztowej z napisem: „Konkurs Filmowy”. Wśród uczestników, którzy poprawnie odpowiadają na wszystkie pytania zostaną rozlosowane następujące nagrody:

APARAT FOTOGRAFICZNY  
ZELAZKO ELEKTRYCZNE  
KOMPLET DO PISANIA  
oraz  
5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH.

# KALMAN SEGAL KOLEKCYJONER

Tym razem zatrzymałem się w hotelu „Prezydent”. Wynajęłam pokój dwuosobowy — nieco krepujący, ale za to tańszy.

Kiedy wszedłem do pokoju, zastałem już tam człowieka w średnim wieku, o dość sympatycznej powierzchowności (prawdę mówiąc, wszy-

nej wartości. Nabywca był bardzo dumny z tego cennego eksponatu, ponieważ stwierdzono niezbicie, że sedes wyszabrowany z jakiegoś zabytkowego pałacu na Rzeszowszczyźnie, służył w swoim czasie wielu znakomitym osobistościom. Iles tam lat jeszcze przed pierwszą wojną światową korzystał z niego sam cesarz Franciszek Józef, osobiście. Nie mówią już o jego nieodłącznych damach dworu, ministrach i namiestnikach, baronetach, hrabiach i księżętach.

— Kolekcjonować można wszystko — powiedział mój współlokator. — Widziałem raz piękną kolekcję parasoli męskich. Jeden mój przyjaciel pasjonuje się etykietkami od win. Znam też jednego doświadzonego kolekcjonera, który skupuje drukowane zaproszenia na bale. A znowu inny zbiera klepsydry. Imponująca kolekcja.

— Można i klepsydry — powiadam — tematyka jest poważna i skłaniająca do filozoficznych rozmyślań. Albo na przykład, rozkłady jazdy PKP...

— Albo książki telefoniczne... — uzupełnia mój kolekcjoner i czule chowa swoje trofea do portfela.

— A tak, tak... — potwierdza tonem podkreślającym walory własne. — W istocie. Lubię porządek i moi ludzie

produkuje sztuczne opakowania, estetyczne, higieniczne i tanie. Bardzo interesująca, bardzo ważna dziedzina nowoczesnego przemysłu.

— A co jest w środku? — pytam, bo ja nie lubię, kiedy ktoś przywiązuje zbyt wielką wagę do opakowań. I nagle zaczynam się domyślać genezy jego kolekcjonerstwa: banderolki, etykiety, opakowania.

— Jak to w środku? — No, w tych opakowaniach?

— A, to już jest sprawa zleceniodawcy. Nas interesuje opakowanie jako zagadnienie samo w sobie.

— A pańscy ludzie? — pytam. Pytam niepotrzebnie, bo już ich sobie trochę wyobrażam: siedzą i grzebią w cyfrach, dębują w nich z dokładnością do jednej setnej, albo do jednego promilla, kiedy pan kierownik wchodzi do pokoju, wtedy oni spuszczaają głowy, mają wtedy zwisające uszy; ale niekiedy nowy radosny duch w nich wstępuje — wtedy gdy on, ich pedantyczny kierownik wyjeżdża w podróż służbową, lub kiedy na skutek epidemii grypy leży w łóżku z wysoką temperaturą. Widzę jak śmieją się bezwstydnie i z nienawistną ironią, ilekroć opuszcza ich pokój i przechodzi do swojego gabinetu, w którym stoi osiem krzeseł jak w sztuce Ionesco, siedzi tam nachylony i skupiony nad przedłożoną mu do podpisania dokumentacją i czerwonym ołówkiem uzupełnia brakujące przecinki. Wchodzi jeden z pracowników i uśmiecha się fałszywie. Panie kierowniku, powiada, zdobyłem dla pana śliczną banderolkę od cygara, te cygara sprowadzane specjalnie dla marszałka Piłsudskiego, z Majorki. Kolekcjoner uśmiecha się powściągliwie: trzeba będzie sprawdzić w encyklopedii, czy na Majorce produkują cygara. I trzeba będzie gdzieś dowiedzieć się, czy marszałek w ogóle palił.

— Moi ludzie — roześmiał się z dumą — to najlepsi specjaliści w tej branży. Wspaniały materiał ludzki. Oczywiście, trzeba umieć z nimi postępować. Wyszukiwałem ich sobie tak, że o każdej godzinie dnia mógłbym panu powiedzieć, co który robi. I nie popełnię pomyłki. Każdy z nich stosuje się do zaplanowanego harmonogramu. Tyle a tyle minut prze-

widuję na rozmowy telefoniczne, tyle na pracę koncepcyjną, na zajęcia operatywne, na higienę osobistą...

— Imponujące... — powiadam. Kolekcjoner banderolek jest zachwycony moim podziwem, z kolei ja udaję, że jestem zachwycony jego zachwytem i — wszystko jest w porządku.

— Trzeba kochać swoją pracę — mówi mój współlokator.

— Wszystko trzeba kochać — uzupełniam sentencjonalnie. Wszystko i wszystkich.

A nade wszystko trzeba kochać ludzi i być wyrozumiałym dla ich słabości i dla ich niedoskonałości. Albowiem nikt z nas nie jest doskonałością absolutną...

— Tak jest — zgadza się mój rozmówca, który właśnie przebrał się w szeleszczącą i lekko naperfumowaną pidżamę, i wstawiwszy jedną długą, owłosioną nogę do umywalki, zaczyna myć stopy, skrupulatnie i pedantycznie, jak przystało na prawdziwego intelektualistę.

KALMAN SEGAL

## Ekipa polska i goście zagraniczni na IX MFP w Sopocie

Program tegorocznego IX Festiwalu Piosenki w Sopocie przewiduje pewne zmiany w kolejności poszczególnych dni w porównaniu z poprzednimi imprezami.

IX MFP zainauguruje 21 sierpnia program „Piosenka nie zna granic”, który — zgodnie z tradycją — otworzy ubiegłoroczna laureatka Urszula Sipińska i nagrodzona piosenka „Po ten kwiat czerwony”. W tym samym dniu wystąpią: Ali Babki oraz — poza konkursem — „Skaldowie”.

W drugim dniu konkursu, „międzynarodowym”, Polskę reprezentować będzie Jolanta Borusiewicz. W jej wykonaniu usłyszymy piosenkę K. Gertner „Wstaje dzień”. Poza konkursem usłyszymy Grechutę i jego „Romantyczność” oraz zespół „Czerwone Gitary”.

W „dniu polskim” — 23 sierpnia — wystąpią: Stanisława Celińska w piosence „Ptakom podobni” oraz — gościnnie — zespół „Breakout”.

W ostatnim tzw. „dniu płytowym” Polskie Nagrania reprezentować będą: Maryla Rodowicz i Rena Rolska. Poza konkursem wystąpią — Joanna Rawik, Wojciech Młynarski i Jarema Stępowski.

Dodatkową atrakcją IX MFP w Sopocie będą gościnnie występy kilku znanych piosenkarzy jak John Rowless (Nowa Zelandia), Gene Pitney (USA), Lon Satton (USA) oraz Trini Lopez (Meksyk).

Festiwal sopocki transmitowany będzie zarówno przez Telewizję Polską, jak i Interwizję. (Kt-PAP)

## Dziwne i ciekawe

### Z TAJEMNIC TWÓRCZOŚCI

Jan Sebastian Bach mając za ledwie 18 lat był już organistą w Arnstadt. Wieczorami kazał się zamykać w kościele i grał całym nocami przy świetle księżyca. Do domu wracał dopiero o świcie.

### SZCZĘŚLIWY WYPADEK

Na jednym ze skrzyżowań Rotterdamu zderzyły się dwa osobowe auta. Kierowcy wyszli z wypadku bez szwanku, natomiast ucierpiał nieco ich wóz, wobec czego właściciele wymienili swe nazwiska i adresy. I wówczas okazało się, że jednym z niefortunnych kierowców jest adwokat, drugim zaś człowiek, którego ów adwokat od dłuższe-

go już czasu poszukiwał bezskutecznie, chcąc mu przekazać ołbrzymi spadek po zmarłym stryju.

### MAGIA I ZABAWA

Wiele przedmiotów dawnego magicznego kultu przekształciło się z biegiem wieków w niewinne zabawki dla dzieci. Tak było np. z grzechotką, która ongiś miała odstraszać złe duchy. Takie same są dzieje latawca. Zanim stał się zabawką, był na Dalekim Wschodzie przedmiotem magicznym i symbolizował duszę zmarłego szamotaną wiatrem i tylko wącią nicią związaną jeszcze ze światem żywych. W Korei latawiec spełniał rolę „kozła ofiarnego”, który miał brać na siebie ludzkie grzechy.

W wielkich stolicach świata, na rozlicznych giełdach i wprzedażach ubiera się i mebluje niesłychana ilość ludzi. Akcja takich targów jest szeroko reklamowana, zatrudnia się tam najlepszych fachowców. Towar idzie od ręki i jest tylko nieznacznie opóźniony w stosunku do ostatniej mody.

Nasze rozmaite targi krajowe lansują towar dla wytwórców. Klient-detalista może sobie to i owo pooglądać, nic ponad to. Nim projekty ujrzą w sklepach światło dzienne, wielu rozmyśli się z kupnem, urodzą się nowe buble.

Bazar, mała miasteczkowy targ nigdy nie ma podobnych kłopotów. Mekka rupieciarzy z handlową żyłką jest swobodnym wzorem organizacji. I przyznać trzeba, że wszyscy tutaj znają swój fach równie znakomicie, jak pan Smith z Albionu.

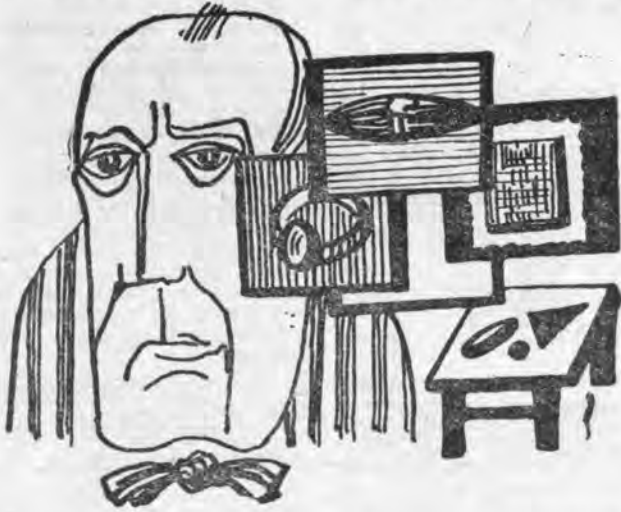
Każdy ze straganowych wystawców jest zaopatrzeniowcem, księgowym, kasjerem i specem od reklamy. Wiedzą, co dziś pójdzie, a jutro będzie leżeć, choć żaden z nich nie prowadzi szczegółowej analizy rynku, nie rozpisuje ankiet wśród klientów. Natomiast zawsze się spieszą, zawsze mają drobne, są uśmiechnięci, mówią: proszę, do widzenia, dziękuję. Oni wiedzą, że ważny jest nawet przygodny obserwator, taki który dziś spojrzy, jutro kupi za grosze, pojutrze za „brudasa”.

Grunt to ruch w interesie, bez względu na to, czym się handluje. Dobre są kwiatki i jarzynki, dobre stare buty, dobre bułki, obrazki, garnki i mostek cielęcy. Zarobić można na wszystkim, ale najlepiej na rzeczach, które dziwnym trafem wyciekły z uspołecznionych sklepów. Jak woda idą trykoty, tenisówki, flanelowe koce, gumki do słoi Wecka, niemowlęce śpiochy. Ceny wyższe niż przewiduje cennik, wszystko bowiem zależy od koniunktury. Kto ma handel we krwi, zwietrzy ją jak gończy pies.

Ale nad handlem niech biedzą się ekonomiści. Nas interesują detale: zaopatrzenie sklepów, jakość towaru, obsługa. Niekiedy chętnie byśmy ją wysłali na dodatkowe szkolenie do przekupek z placu targowego. Dałyby jej solidny wycisk: rusz się! obsłuż! wytłumacz! zapakuj! podziękuj!

Takie tempo i taki styl pracy jest w wielu naszych sklepach sennym marzeniem. Nie traćmy jednak ducha. Naprawdę są nieodkryci Smithowie, którzy i u nas z równym zapałem — jak samochody, sprzedają buraczki, gwoździe, i chleb. Pewnie też nigdy nie mówią: towaru za dychę, wymagań za tysiąc.

BEGA



Rys. J. SIENKIEWICZ

scy ludzie wydają mi się sympatyczni), który odpowiedział uśmiechem na mój uśmiech i podał mi rękę na przywitanie. I tak oto została zawarta znajomość — powierzchownie, ale formalnie.

Zaczęłam rozpakowywać walizkę, a on tymczasem wydobyl z kieszeni skórzany portfel i ostrożnie wyciągnął z niego kilka złożonych banderolek od cygar.

— Jestem posiadaczem największej kolekcji banderolek w Polsce — wyjaśnił.

I zapytał, czy ja palę cygara i jakiej marki. Nie, nie palę. Okazało się, że on też nie pali, ale banderolki to jego pasja.

— Pasje intelektualistów... — powiedziałem z udanym podziwem, bezskutecznie usiłując zrozumieć genezę takich kolekcjonerskich zamiłowań. Bo moim zdaniem równie dobrze mógłby gromadzić tubki od pasty do zębów, korki od butelek, końskie podkowy, lub popielniczki kradzione w hotelach.

Aluzję o intelektualistach połknął gładko, nawet się nie zakrzywił, a twarz mu się rozjaśniła miłym blaskiem. Pomyślałem, że to przyjemnie sprawić komuś przyjemność.

— Niech pan spojrzy — powiedział poważnie — to jest banderolka z cygara, które palił Churchill. Bardzo cenny nabytek.

Patrzył w skupieniu na poślaczany paseczek papierowy, a ja przypomniałem sobie jak to po wojnie pewien paskarz zaczął lokować kapitały w antyki, i ktoś sprzedał mu dziewiętnastowieczny ozdobny sedes, rzekomo o ogrom-

mogliby coś na ten temat powiedzieć.

— Pańscy ludzie? — Jestem kierownikiem sekcji statystyki i dokumentacji w dużej firmie, która

## Kartki dla Ewy

# TARGI

Angielskie Stowarzyszenie Sprzedawców jednogłośnie przyznało tytuł Wzorowego Ekspedienta panu Smithowi. Umiejętności nagrodzonego znacznie przewyższają stawiane wymagania. Pan Smith sprzedał sportowy kabriolet latarnikowi morskemu, który nie będzie nim jeździł, bo nie ma dokąd. Postawi swój nabytek u stóp kamiennej wieży, posłucha silnika na jałowym biegu. Pan Smith wytłumaczył latarnikowi, że to też przyjemność, gdyż ten wóz ma najpiękniejszy klang na świecie. Dziś obaj zadowoleni są z transakcji.

Sukces pana Smitha płynię stąd, że lubi swój zawód. Z równym powodzeniem mógłby sprzedawać buraczki i gwoździe ludziom szukającym fortepianu i ananasów.

Klient w dużym sklepie czuje się zawsze trochę bezradny. Oczekuje informacji, zachęty, pomocy i zainteresowania. Chce być przekonany, że słusznie wydaje pieniądze. Na nic hasła „klient nasz pan”, kiedy za ladą znudzone ekspedientki wilkiem patrzą na kupujących i ani słowa nie mrukną o właściwościach towaru, którym handluje. Dla wielu sprzedawczyń symbole na metkach są tym, czym dla innych lamigłówna w „Szaradzie”. Nabywca wcale nie jest zobowiązany wiedzieć, że rozmiar ubrania to wysokość łamana przez obwód torsu i długość rękawów. Szuka czegoś, co można od razu wsadzić na grzbiet bez zwracania uwagi na cyfry. Jedyną cyfrą interesującą nas w sklepie jest suma pieniędzy w kieszeni. Często ich wydanie zależy od umiejętności ekspedienta. Od jego taktu, sprytu, zdolności przekonania, że oglądana przez nas rzecz jest nam do szczęścia niezbędnie potrzebna.

JEDEN Z RÓWIESNIKÓW POLSKI LUDOWEJ

# OGRODEK NIEPLEWIONY

Nasz ogródek zarasta coraz gęściej. Grozi mu nawet przekształcenie w ogród chwastów i wszelakich ziółek, gdyż coraz więcej autorów zdradza chęć wypowiedzenia się właśnie w tej rubryce. Jedni chcą w cieniu ogródka wyplakać swe miłosne rozterki, inni chcą chlostać biczem-satyry lub przed czymś przestrzegać. Poniżej publikujemy utworek dla przestrogi wszystkich ogródkowych twórców. Jego autorka pisze do nas: „Zaczęło się od dość częstego rymowania. Potem napisałam fraszkę na imieniny dla swego kolegi i żartobliwy wierszyk o koleżance. Potem pisałam ich coraz więcej i o różnej tematyce... wierszyki żartobliwe, krytykujące, miłosne i inne. Teraz moim hobby jest składanie wierszyków. Od stycznia br. ułożyłam ich około 50”...

Jak się dochodzi od rzemyczka do koniczka, jak niebezpieczne jest igranie z rymem niech świadczy wiersz poniższy:

### TO BYŁO NIEPOTRZEBNE

Nie powinnam cię za to winić,  
bo pękła po prostu mi nieć  
i chociaż chciałabym to naprawić,  
chcę dalej w kotka i myszkę się bawić.  
I o to właśnie się rozchodzi,  
że z tego nic dobrego nie wychodzi —  
bo my nie jesteśmy dla siebie —  
i dlatego dziś porzucam ciebie...  
...Nic nie pomoże ci po moim żalu,  
bo i tak odejdziesz od siebie w siną dal.  
Nie zostawię ci na pamiątkę swego cienia  
i zostana ci po mnie tylko wspomnienia.  
...Nie wiesz nawet co wtedy w sercu czułam,  
że teraz w życiu się tulam  
że czuję się jakby uszczypnął mnie rak  
bo jednak czegoś jest mi brak.  
To jest właśnie moja wada,  
że zawsze robię to — co nie wypada.  
Wiem coś o swoim obyciu,  
lecz ja nigdy nie cofam się w życiu.

„Dżeny”  
z Jarosławia

Bywa, że starsi panowie wólczą się po nocach i po tychże samych nocach wólczą się młodzieniaszkowie. Co z ich spotkania wynika przedstawia nam utwór p. Jana R. z Mielca. Morał wiersza — panowie wólczcie się oddzielnie i raczej „po dniu”.

### WYBRYK CHULIGAŃSKI

Lipcowy wieczór zapadł nad miastem  
cicho szumiały podmiejskie drzewa  
ludzie do snu się już układali  
a przy kominku czarny kot ziewał.  
Wtem gdzieś z oddali, poprzez mrok nocy  
dały się słyszeć potworne krzyki  
jakieś wstrętne przekleństwa i groźby  
wplątane były w odgłosy bijatyki.  
Kilku podpitych młodzieniaszków  
co się po mieście wólcza po nocy  
napadło na dwóch starszych panów  
używając liczebnej przemocy.  
Czy to żarty, czy żądza pieniędzy?  
zaliczmy to raczej do formy zbrodni  
bowiem dwóch starszych, siwych panów  
wróciło do domu bez własnych spodni.

Jan R.  
Mielec

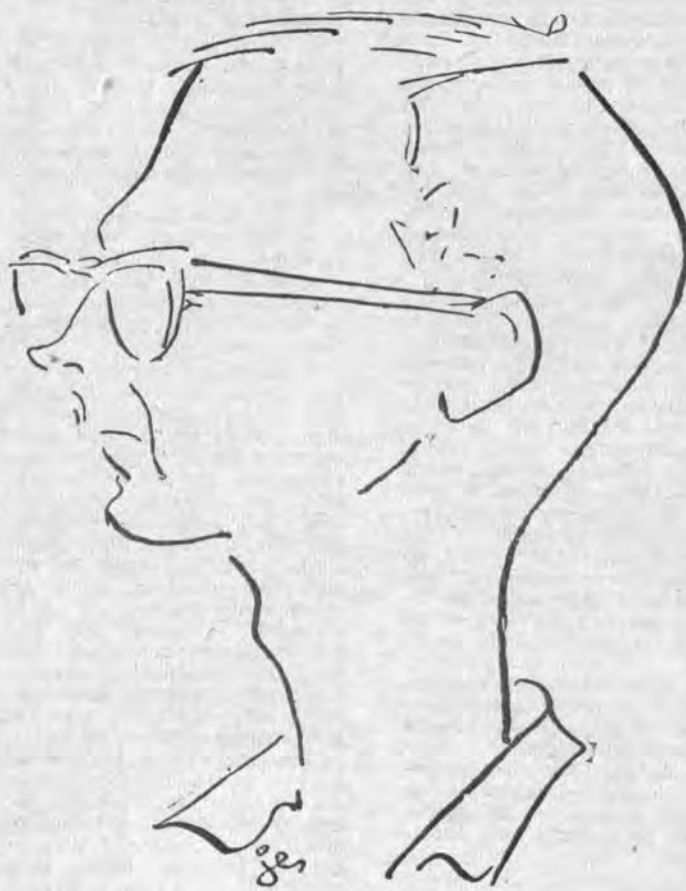
Po tym tragicznym wydarzeniu serdecznie rozbawiamy naszych czytelników humorem, który nam proponuje p. Tadeusz M. z powiatu jasielskiego.

### ANEGDOTY WOZNICIA

Dlaczego pan ciągnie plug?  
A bo koń uciekł.  
To dlaczego pan nie łapie?  
Mnie nie trza konia,  
ja jestem sam jak koń.

### MILICJANT

Proszę o prawo jazdy  
Jak to przecież ja jeżdżę prawą stroną.



ZBIGNIEW WARZOCHA — członek Zarządu Koła Zakładowego ZMS przy WSK Rzeszów.

Rys. J. SIENKIEWICZ

## Nowości wydawnicze

### „Genealogia ocalonych”

Autor przygotowywał tę książkę od lat, trwając się czy zdoła stworzyć syntezę lat, w których ludzie poddani byli niesamowitemu ciśnieniu historii. „Nie jest to książka sprawozdaniem — wyjawia — raczej zbiorem impresji odpisanych z pamięci po latach”. Mimo tych zastrzeżeń stanowi nieoceniony materiał ukazujący jak wielką wagę w dziejach walki z okupantem odegrała mała grupa młodych poetów borykających się z nieludzkim czasem i zagadnieniami własnej twórczości. Lesław M. Bartelski dał obraz jednej grupy literackiej „Sztuki i Narodu”, do której należeli m. in. Tadeusz Borowski, Tadeusz Gajcy, Krzysztof Baczyński. Szkice o latach 1939—44 Lesława M. Bartelskiego noszą tytuł „Genealogia ocalonych” (II wydanie); ukazały się nakładem Wydawnictwa Literackiego.

### „Ballady przy kawiarnianych stolikach”

Powieść ta jest swego rodzaju novum w dotychczasowej twórczości Władysława Bodnickiego, poety rozkochanego w sztuce i przeszłości, autora powieści biograficznych — jak „Legenda o Wieniawskim” (1957), „Pustelnia pod Trzema Pyskami” (wielotomowej publikacji o Matejce) i innych.

„Ballady przy kawiarnianych stolikach” są bogatą w relacje podróżą po krajnie współczesnej prowincji. W obrazie tym wiele miejsca zajmuje młodzież. Nie brak tu przedstawicieli elity o „wczorajszej” filozofii życiowej i „wczorajszym” stylu życia, a także ludzi starych i samotnych, których los wyniósł niegdyś na szczyty kariery artystycznej i towarzyskiej. Książka W. Bodnickiego ukazała się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

### Saga o walkach Kaszubów ze Szwedami

Kaszub, rybak i pisarz-samouk — Augustyn Necel z Władysława jest autorem dwutomowej epopei pt. „Krwawy sztorm” i „Złote klucze”. Jej tematem są dzieje dwóch pokoleń małej nadmorskiej wioski zamknięte między rokiem 1626 a 1701. Ten baśniowo-rycerski epos posiada jednak wyraźnie zakreślone punkty kulminacyjne, są nimi najbardziej dramatyczne momenty dwu wojen szwedzkich. Oba tomy kaszubskiej epopei zostały oparte o odwieczny archetyp braterskiej waśni, braterskiej zdrady i rodzinnej nienawiści.

### Studia o ideach i stylu

PIW opublikował Marię Janion studia o ideach i stylu noszącego tytuł „Romantyzm”. Studia zamieszczone w tomie powstawały w ciągu ostatnich lat dwunastu. Ich problematyka oscyluje wokół światopoglądu i stylu, historii idei i historii form artystycznych. Autorkę interesowały m. in. pewne szczególne właściwości literackiego stylu romantycznego, a nawet jego wynaturzenia. W centrum zainteresowań znalazł się romantyzm polski i wszystko obraca się w szkicach wokół próby wskazania na czynniki konstytuujące jego szczególność i osobliwość. Praca Marii Janion powstała w Instytucie Badań Literackich PAN.

### Nauka i fikcja

Andrzej Ziemiński raz już patrzył na Amerykę oczami socjologa i rezultatem tego była książka „Maszyna do życia — szkice o cywilizacji amerykańskiej”. Nowa jego książka „American TV, czyli życie fikcją” jest wynikiem konfrontacji życia z utrudą szklanego ekranu. Autor nie rości sobie pretensji do naukowości, przekazuje po prostu osobiste spojrzenie na TV amerykańską. Wprowadza jednak czytelnika w sens programu amerykańskiej telewizji, jego intencje, organizację, strukturę i znaczenie społeczne nadawanych audycji. Książkę opublikowały Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe.

## FILM ♦ FILM ♦

### „PIERWSZE STRONICE” MICHAŁA ROMMA

Reżyser Michał Romm przystąpił do pracy nad filmem dokumentalnym „Pierwsze stronice”, który ukaże narodziny i rozwój tematyki leninowskiej w kinematografii radzieckiej. Będzie to portret Włodzimierza Lenina pokazany przez pryzmat dzieł oraz wspomnienia reżyserów, scenarzystów i aktorów, którzy pierwsi podjęli realizację filmów o wozu Rewolucji Październikowej.

### AMERYKA CZASU KENNEDY'CH

Nowy film włoskiego reżysera Gianni Bisiacha pt. „Dwóch Kennedy'ch”, oparty na powieści Jamesa Hepburna „Ameryka płonie”, ukazuje atmosferę psychologiczną i polityczną, w której doszło do zbrodni w Dallas i w Los Angeles. Jest to utwór dokumentalny, który krytycy zaliczają do nowego gatunku „dziennikarstwa filmowego”, pełen treści i nie pozbawiony akcentów polemicznych.

### MICHELINE PRESLE I ROBERT MITCHUM

„Le rendez-vous des husbands” — taki tytuł nosić będzie komedia muzyczna Andre Fledericca, w której wystąpi Micheline Presle. Aktorka grać będzie rolę właścicielki pensjonatu, czekającej na powrót przyjaciela sprzed lat. Postać tę — 45-letniego amerykańskiego beatnika — kreuje Robert Mitchum.

### NOWY FILM CHUCIJEWA

Marlen Chucijew („Mam 20 lat”) przystąpił w zespole twórczym „Ekran” do realizacji filmu „Miesiąc maj”. Autorem scenariusza jest G. Baklanow.

(KT — PAP)

### SZKOLNICTWO PLASTYCZNE

Ponad 4,6 tys. uczniów, nie licząc ok. 2,5 tys. słuchaczy wyższych uczelni plastycznych, kształcą obecnie 22 licea plastyczne w kraju, których zadaniem jest przygotowanie kadr dla wielu gałęzi przemysłu, drobnej wytwórczości i rzemiosła. Absolwenci tych szkół zasilają również szeregi działaczy kulturalnych w terenie, stając się inicjatorami tworzenia nowych ośrodków artystycznych.

W okresie 25-lecia PRL szkolnictwo plastyczne przeszło liczne ewolucje, których celem było wykrystalizowanie najlepszego modelu nauczania. Z początkowych szkół — dwuletnich „licców plastycznych” z przedmiotami ogólnokształcącymi (do których przyjmowano młodzież z ukończoną szkołą podstawową i co najmniej dwiema klasami szkoły średniej) lub czteroletnich „licców szkół plastycznych” i „licców technik plastycznych” (rekrutujących uczniów po 7 klasach szkoły podstawowej), w latach 1956—1966 szkoły plastyczne zostały ostatecznie przekształcone na 5-letnie licea o charakterze zawodowym. Przyjmują one młodzież po 8 klasach.

Jeśli porówna się obecny stan szkolnictwa plastycznego z kilku przedwojennymi szkołami rzemiosła artystycznego, widać ogromny postęp w dziedzinie pedagogiki artystycznej w Polsce. Szkoły plastyczne dały duży wkład w wychowanie młodzieży, upowszechnianie sztuki, kształtowanie środowisk. Liczni absolwenci liceów plastycznych zajmują odpowiedzialne stanowiska w przemyśle, współdziałając z technologami nad kształtowaniem wyrobów codziennego użytku i maszyn, są projektantami i twórcami dzieł tak poszukiwanych w pamiętkarstwie, a także zasilają walnie kadry szkolnictwa podstawowego.

(KT PAP)



— proszę o uśmiech

Fot. CAF — A. ŁOKAJ